Nr. 11 (1264). **Warszawa, 12 (25) Marca 1905 r.** **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świat ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ

Szan. Abonentom przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał II 1905 r.



Nowa kampania.

Pasmo krwawych czynów wojennych pod starożytną stolicą Mandżuryi, gdzie w pobliżu dzisiejsza dynastya chińska miała kolebkę i ma jeszcze groby swoje, snuć się przestało w dniu 11 marca, kiedy Japończycy zagarniali do niewoli w spóźniony odwrót uwikłane mniejsze i większe, i bardzo wielkie, bo w całych brygadach występujące, rozprzężone jednostki taktyczne i poodrywane od nich kupy, ratujące się ucieczką. Wszystko, co odtąd się stało, należy już do odwrotu, dokonywanego pośpiesznie i bezładnie na północ po drodze mandaryńskiej, a koleją dla wywiezienia cięższej artyleryi, chorych i ranionych. Bitwa pod Mugdenem, którą raczej wojną złożoną z szeregu napadów na pozycye obwarowane, odporów i odwrotów z tych pozycyj nazwaćby należało, trwała dni szesnaście, a jeśli włączymy i cztery od pierwszego ruchu Kurokiego ku wąwozowi Tsi-chen-czeng daleko już na wschód i południe wysuniętemu—dni dwadzieścia; kosztowała obie strony przeszło 200,000 ludzi zabitych i ranionych; przyprawiła stronę przegrywającą o stratę przeszło 43 tys. żywcem wziętych, kilkuset dział wielkich zapasów amunicyi, żywności, szyn kolejowych i wszelkiego rodzaju potrzeb wojennych; dla Rosyan stała się niepamiętnym pogromem, dla Japończyków zwycięztwem, jakiego nigdy jeszcze w ciągu swego długiego od czterech tysięcy lat istnienia, w kronikach swych nie zapisali.

Jaką siłę, z jaką zasobnością w niezbędne środki do walki mógł wyprowadzić z pod Mukgdenu wódz naczelny armii, który do ostatniej chwili przedstawiał klęski swoje, jako pomyślne odpieranie ataków, a gdy sam nie umiał rozglądać się należycie po widowni, chwytać pojedyńczych ok ustawicznie przesuwającej się siatki topograficznej, spędzał winę na nagłe zjawienie się Nogiego na zachodzie i północy, na również nagłe zajęcie Kiu-sanu nad Hunho na wschodzie? Przeciwko 250,000 sił japońskich nie więcej nad 160—180 tysięcy w granicach krańcowych 150 i 190 tys. Siły bowiem jego i podług rosyjskich i podług japońskich, rzecz prosta niepewnych, doniesień chwiały się pomiędzy 300—330 tysiącami, a straty wynoszą 140—150 tys. Dotychczas nie powiedziano z Petersburga ilu było zabitych, lecz jeśli Japończycy po bitwach ostatnich od d. 8 b. m., który był przełomowym, zebrali z pola 26,500 ciał, to walki trzynasto-dniowe przed przełomem ku klęsce przynajmniej połowę tej liczby ofiar pochłonąć musiały. Rannych i chorych według sprawozdania Czerwonego Krzyża „ewakuowano" z Mugdenu" na północ—rzecz prosta, tylko do dnia 9 b. m. włącznie, 10-go bowiem po południu a nie zrana, jak tu podano, weszli już Japończy — 56,000 w okrągłej liczbie, która zwiększyły straty w d. 10 i 11 b. m., tak, iż oznaczenie sześćdziesięciu tysięcy w tej pozycyi będzie raczej zbyt wstrzemięźliwem, niż przesadnem. Do niewoli wreszcie, j. w., wzięli Japończycy przeszło 43 tys. Zbierając wszystkie rodzaje strat w jedną sumę, otrzymujemy powyższe granice liczb 140—150, a w tych granicach 2,200 oficerów, samych tylko ranionych lub do niewoli zabranych.

A ile dotychczas kosztował odwrót? Nawet gen. Kuropatkin nie mógł utaić wielkiego popłochu w taborach, kiedy ocalona połowa armii dążyła ku Tie-lingowi, spodziewając się w nim znaleźć wypoczynek. Japończycy strzelali ze wzgórzy na prawo, strzelali z bateryi na lewo, oba zwinięte, stulone skrzydła ogniem prażyli, podjazdami szarpali. Po przebyciu trzech czwartych drogi — odległość z Warszawy do Skierniewic — dowlokło się rozbite wojsko do rzeczki Fan-ho, lewego dopływu Liao-ho. Tutaj gen. Kuropatkin stoczył bitwę, znowu pomyślną, odparł nieprzyjaciela i z zadowoleniem patrzał na tysiące trupów japońskich, pokotem uścielających pole walki. Mogło to być 12 b. m.; 13 bowiem docierał już do Tie-lingu. Tu już niezawodnie żołnierz nietylko wypocznie, ale i strategiczną ostoję znajdzie i odzyska ducha, którego podnieść w nim musiało wczorajsze zwycięztwo, Nic z tego! Zaledwie 24 godziny przebył wódz na stanowisku, które miało wstrzymać pochód japoński i według doniesień jesiennych — kiedy to odrazu nie Mugden, ale Tie-ling wskazywano, jako cel odwrotu z pod Liao-jangu, niezmiernie mocno obwarowanem było, nakazał odwrót. I dobrze zrobił, bo groziła mu tam przy wielkiej już i liczebnej przewadze sił japońskich kapitulacya. Rozpoczęto na nowo spieszny pochód na północ już pod nowym dowódcą gen. Liniewiczem, który przedtem dowodził armią pierwszą, ustawioną na wschodzie i południu Mugdenu. Człowiek, który w marcu r. 1904, przemawiając do wysyłanych na wojnę, zalecił im, aby jeden nawet Japończyk żywym z lądu stałego Azyi się nie wydostał, teraz musiał w głębi tego lądu pod tłoczącym brze-

mieniem zwycięztw japońskich, o jakie trzysta kilometrów od morza, opanowanego przez Japończyków, przejść pod jarzmem destytucyi z wodza całej armii, dowódcy wszystkich sił lądowych i morskich na Dalekim Wschodzie, zostać komendantem części wojska, prowadzonej przedtem przez nowego wodza naczelnego.

Gen. Liniewicz może mieć tylko jedno zadanie: doprowadzić wojska do Charbina. Jeżeli istotnie w Tie-lingu zasiliła go choć tylko dywizya świeżego wojska z Europy, to siły jego mogły mimo strat w odwrocie i nowej bitwie nad Fan-ho utrzymać się na najwyższej możliwej wysokości 190 tysięcy. Doszedł on z niemi d. 19 b. m. po za Kuja-jang-siang, o 4 mile na północ od Tielingu bez większego starcia. Czy oddzielił część na Kiryn, do którego z powyższej miejscowości prowadzi rozwidlająca się droge mandaryńska? Jeżeli tak, to czeka go, przy osłabieniu sił do jakich 150,000 co najwyżej, blizkie a fatalne zaskoczenie. Jeżeli zaś nadal w masie i spójności trwać będzie, to ma przed sobą nadzieje, że czas okaże się dla niego przychylniejszym, niż dla Japończyków; każda chwila, którą zyska on, dla nich będzie straconą. Im bardziej odwlecze się rozprawa, tem większe zyska nowy wódz prawdopodobieństwo napotkania posiłków z odległego od punktu, w którym stać mógł w d. 22 b. m., o jakie 400 kil. od Charbina. Japończycy nie mogą zanadto oddalać się od morza i lądowej już swej podstawy w Mandżuryi, nie mogą też zapuszczać się nad Sungary przed rozprawieniem się pomyślnem z armią gen. Liniewicza. Z tych wszystkich przyczyn przewidywać potrzeba blizkie już, a ważne doniesienia z widowni wojennej, którą teraz jest trakt kolejowy charbiński. Kampania odwrotowa, jeśli się odwrotem dokonanym rzeczywiście zakończy, da możność urządzenia nowej zupełnie wojny, z nowym układem strategicznym i nową obsadą ról: zaczepną podejmą Rosyanie, nacierając na czworopunkt: Tie-ling, Hsin-min-ting, Mugden, Hsin-king, obronną—Japończycy. Ale w najlepszym wypadku nowa ta wojna nie rozpocznie się przed końcem lata. Minerwa, bóstwo dobroczynne, ma jeszcze dość czasu na spędzenie Bellony.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zmęczenie Japończyków i rozkład pochodu na drogi prowadzące ku północy, uchroniły cofające się wojska rosyjskie od starcia ogólniejszego, któreby dla niego fatalnem być mogło. Wojsko to otrzymało nowego wodza, dowódcę dotychczasowej armii I, gen. Liniewicza—wybór całkiem niespodziewany. Nowy wódz dopiero w 51-ym r. ż. został generalem-majorem, ale potem szybko już w ciągu lat 8-u doszedł do rangi gen. piechoty i naczelnego dowództwa na Syberyi; nie walczył nigdy w Europie, nie zna przeciwnika wielkiego, dowodził tylko w Azyi, przeciwko Turkomanom, Kaukazczykom i w wyprawie Europejczyków 1900 pod Pekin przeciwko Chińczykom; w niższej jeszcze randze bił się w latach 1877/8 z Turkami. Jest osobiście walecznym, Wybór nie był łatwym. Ostatecznie albo nominacya, albo sama wojna jest tylko tymczasową. Najgoręcej do nawetpokoju zachęcają rząd rosyjski głosy przyjaźni z Francyi, którą wsysa w siebie, jak we wszystkiem na zewnątrz, Paryż. P. Delcasse wysila się napróżno, aby ruch za pokojem we Francyi zatamować.

Adm. Rożestwienskij d. 16 b. m. wyruszył z pod wysepki Nossi-Be, w północno-wschodnim rogu Madagaskaru w niewiadomym kierunku—najprawdopodobniej na spotkanie się z kontr-admirałem Niebogatowem, prowadzącym trzecią eskadrę baltycką na wschód. Niewiadome są zupełnie ruchy floty adm. Togo i Kamimura. Krążą oni zapewne, trzymając się zdaleka od brzegów po archipelagu Sundzkim. Gdyby wojna przeciągnęła się, bitwa morska byłaby—najprawdopodobniej na wodach Sundzkich—nieunikniona, choć może jeszcze nierychła.

Rząd chiński, na żądanie Japonii, zamianował vice-króla Mandżuryi. Nazywa się on Cza-sor-czeng.

W Europie najwięcej hałasuje p. Bülow. Natarł na niego Bebel, natarł Vollmar, — obaj w sejmie cesarstwa. Przy wyrobionej nadzwyczaj sztuce przytomności umysłu, zaprawianej dowcipem, udało się kanclerzowi poprowadzić bitwę ku zadowoleniu, niewiele zresztą wymagającej, większości sejmu. Wmówił w nią, że w słynnym procesie Królewieckim rząd, t. j. on wraz z ces. Wilhelmem, działałzgodnie z wymaganiem i dobrem Niemiec; że w neutralności trzyma się, jak strzałka w wadze, w matematycznym punkcie równowagi; że statków wielkich nie sprzedaje przecież, on, rząd, ale się tem trudnią prywatni, którym zwyczaje dotychczasowe czynić tego nie wzbraniają; waluty rosyjskiej w kursie utrzymać bynajmniej Mendelssohnowi nie dopomaga; że wreszcie — a to było charakterystyczne — podczas wojny nie chciał korzystać z kłopotów Rosyi, pragnąc, owszem, żyć z nią w tradycyjnych dobrych sąsiedzkich stosunkach. Mówił też o Japonii i odczytał zapewnienie japońskie, że stan posiadania nad wodami chińskiemi wzruszonym nie będzie.

Ciekawe było, a ze względu na etykę nauczające, wyznanie p. Bülowa, jakby ustęp z pamiętnika. Kiedy w początkach swego zawodu niewprawny jeszcze w rzemiosło terminator przyniósł żelaznemu księciu depeszę, w której się znajdowało „oburzenie“, zwrócił mu majster wypracowanie z nauką: „mąż stanu, czy dyplomata nie zna „oburzenia“, może być tylko niezadowolonym, może coś przyjąć z przykrością“. Gdyby świat rządził się zasadą dyplomacyi pięknie-by do tego czasu wyglądał!

Cesarz Wilhelm d. 16 b. m. zaprosił się sam do ambasadora francuskiego na obiad; oczywiście w dowodzie szczególnej uprzejmości była i chęć ubicia jakiegoś interesu — może o pokój, może o ugrupowanie się na Wschodzie. Teraz już cesarz pływa po morzu.

Były i w sejmie pruskim i w sejmie Cesarstwa znowu rozprawy o Polakach i postanowionem ich wytępieniu. Spahn z centrum wbrew p. Bülowowi oświadczył, że nie Polacy, ale rząd pierwszy walkę rozpoczął. Niemile to dotknęło kanclerza.

Jeden z najniegodziwszych hakatystów w rządzie pruskim, Hammerstein, min. spraw wewn., d. 18. b.m. pożegnał doczesność. Był to typ spodlonego służalca i zaciekłego Krzyżaka.

Izba francuska przyjęła prawo o 2-letniej służbie wojskowej. Powstaje liga katolicka przeciwko odłączeniu kościoła od państwa i porządkom mającym zapanować po separacyi. Z drugiej strony socyaliści skrajni chcą zwalić projekty Brianda, rządu i komisyi, jako zbyt łagodne. Izba d. 21 miała już nad separacyą radzić.

We Włoszech Fortis się cofnął, na czele rządu staje Tittoni.

Cesarz Franciszek Józef pojechał do Pesztu, aby powrócić z niczem; upiera się przy nietykalności dzisiejszej armii wspólnej. Z związku z tą ciężką sprawą uwęgrzenia jednostek taktycznych rekrutowanych z Węgier, minister Welsersheimb, od 25 lat czynny i wielce użyteczny, podał się do dymisyi. Następcą Schoneich.



L. Andrejew.

„Niema przebaczenia.“

Opowiadanie.

(Ciąg dalszy).

Na skwer, klapiąc kaloszami, weszło trzech studentów. Mitrofan Wasilewicz wlepił w nich oczy, szeroko otwarte, zamglone ze strachu i, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, zerwał się z ławki i począł iść. Dopiero po przejściu całego skweru i po zagłębieniu się w jakąś ciemną, krzywą uliczkę, skombinował, że tam przecie było dwóch tylko studentów i że niepodobna uciekać od nich wszystkich, spotykanych na ulicy. Błąkał się przez pewien czas po nieznanych sobie zaułkach; w końcu znalazł się znowu na skwerze i długo szukał ławki, na której przedtem siedział. Chciało mu się koniecznie usiąść na tej samej, w tem było coś dla niego pocieszającego.

„Trzeba się uspokoić i trzeźwo spojrzeć na sprawę,“ myślał. „Nie jest jeszcze tak źle. Do dyabła z tą błaźnicą! Przecie mię nie zna. A i tamci dwaj nie widzieli mej twarzy, bom nie głupi, podniosłem kołnierz u paltota!“

Zaśmiał się radośnie, lecz nagle urwał, uderzony straszną myślą.

„O, Boże! toż ona mię widziała! Umyślniem sterczał przed nią całą godzinę ze swym pyskiem. Spotka mię z pewnością gdziekolwiek.“

I cały szereg okropnych przypuszczeń nasunął się jego wyobraźni: jest człowiekiem inteligentnym, kocha naukę i sztukę, bywa w teatrze, na zebraniach i odczytach, był nawet trzy razy w uniwersytecie na dysertacyi magistra—wszędzie się może spotkać z tą kursistką! Zapewne w takich razach nie bywa sama, one nigdy same nie chodzą, lecz zwykle w towarzystwie innych kursistek i aroganckich studentów. Strach go ogarnia na myśl, co się może zdarzyć, gdy ona wskaże nań palcem, mówiąc: „szpicel“.

„Muszę się ogolić i zdjąć okulary“, myśli Mitrofan Wasilewicz. „Do dyabła z oczyma! może doktór kłamie. Lecz czy się twarz odmieni, gdy zgolę taką brodę? Czyż to broda?“ Dotknął palcami swego zarostu i prawie wszędzie poczuł ciało.

„Nawet broda nie chce rosnąć, jak u innych ludzi“, pomyślał z goryczą i wstrętem.

„Wszystko to jest jednak głupstwo. I to, że ona może mię poznać, też głupstwo. Trzeba dowieść. Trzeba spokojnie i logicz-

ŻYCIE SPOŁECZNE

LISTY GALICYJSKIE.

Sprawa spolszczenia gimnazyum w Brodach. — Nowe zakusy germanizacyjne. — Z Towarzystwa szkoły ludowej. — Zakłady hygieniczne. — Rekonstrukcya powiatów.

Dziwną anomalią jest istniejące dotychczas w Brodach gimnazyum z niemieckim językiem wykładowym. Dziwną, bo nieusprawiedliwioną żadnymi względami, nawet takiej natury, jak argumenty, mające przemawiać za koniecznością istnienia gimnazyum we Lwowie. W stolicy kraju, w centrum administracyjnem całej prowincyi mieszka sporo niemieckich rodzin urzędniczych, a jeszcze więcej wojskowych, które, przebywając dziś w Galicyi, jutro mogą być przeniesione gdzieindziej, wskutek czego dzieci tych rodzin muszą mieć możność kształcenia się w języku niemieckim, ażeby, nie były narażone na poważną stratę czasu. W Brodach nawet te, mało zresztą ważne, względy nie istnieją.

Gimnazyum w tem mieście zostało założone wówczas, kiedy ludność jego składała się przeważnie z Żydów, Niemców i Ormian, kiedy Polacy miejscowi ze sfer szlacheckich korzystali z liceum krzemienieckiego, a warstwy ludowe — jak rusińskie, tak polskie, wcale w rachubę nie były brane. Z czasem jednakże stosunki miejscowe zmieniły się kardynalnie. Ormianie spolszczyli się zupełnie, to samo stało się z Niemcami i z przeważną częścią inteligencyi żydowskiej. W miarę zaś, jak pęd do światy ogarniał coraz szersze warstwy, do gimnazyum poczęły się garnąć dzieci drobnomieszczaństwa polskiego i ludu—polskiego i rusińskiego.

Liczba dzieci niemieckich w gimnazyum brodzkiem topniała. W ostatnim np. roku było ich 80 kilkoro, a polskich trzysta kilkadziesiąt. Ale i ten stosunek bynajmniej jeszcze nie odźwierciedla naturalnych potrzeb ludności. Bo przedewszystkiem rodzice zamożniejsi, wszyscy ci, którzy mogą kształcić dzieci po za Brodami, wysyłają je do miast poblizkich, posiadających gimnazya polskie. Następnie mnóstwo dzieci polskich, które przeszły polską szkołę elementarną, nie mogą wstąpić do gimnazyum brodzkiego ze względu na swe nieprzygotowanie do słuchania wykładów w języku niemieckim. Przy egzaminie wstępnym w gimnazyum brodzkiem przepada 42% zgłaszających się. Są to przeważnie dzieci polskie. A i te, które okażą się dostatecznie przygotowanemi, z niezwykłymi tylko wysiłkami pokonywają trudności uczenia się w obcym języku. Normalnie — t. j. w ciągu lat 8-miu gimnazyum brodzkie kończy zaledwie 5 proc. Polaków; reszta studyuje po 9 — 10 lat, a najczęściej opuszcza szkołę przed ukończeniem całkowitego kursu.

Zresztą nietylko uczniowie cierpią na takim stanie rzeczy. Nie lepiej rzecz się ma z personelem nauczycielskim. Ponieważ liczba nauczycieli—Niemców jest bardzo mała, przeto wykładają po niemiecku Polacy, względnie Rusini, dla których język ten jest prawie tak samo obcy, jak i dla uczniów. Stąd płyną prawdziwe horrenda, nie uchodzące uwagi dzieci i naturalnie obniżające w oczach tych ostatnich powagę ciała nauczycielskiego.

Przez czas dłuższy anomalia brodzka uważana była za coś normalnego, ale po wypadkach wrzesińskich, kiedy całe społeczeństwo polskie ogarnął duch protestu przeciwko germanizacyi we wszelkiej postaci, zwrócono baczną uwagę i na gimnazyum w Brodach. Pierwsza młodzież akademicka na wiecu publicznym upomniała się o jak najrychlejsze spolszczenie tej szkoły. Następnie rada miejska uchwaliła przekształcenie jej na polską. W końcu takąż samą uchwałę powziął i sejm galicyjski, i odpowiedni wniosek został przedstawiony do sankcyi cesarskiej.

Tymczasem upłynęło już sporo czasu, wszystkie wnioski komisyi szkolnej zostały przyjęte, tylko sprawa spolszczenia gimnazyum brodzkiego nie postąpiła ani o krok naprzód. Rząd podobno uważa za rzecz konieczną istnienie w Galicyi dwóch gimnazyów niemieckich i wzamian za spolszczenie brodzkiego zażądałby założenia gimnazyum z niemieckim językiem wykładowym w Krakowie. Jest to pogłoska, ale bodaj czy nie oparta na informacyach dość jasnych. Obecnie „Koło Polskie“ ma rozpatrzeć sprawę gimnazyum w Brodach i poczynić usiłowania, aby sankcya uchwały sejmowej została przyspieszona. Energiczne żądanie wywarłoby niewątpliwie skutek pożądany; czy tylko można spodziewać się po „Kole Polskiem“ energicznego żądania?! Sprawa się będzie wlokła w nieskończoność, albo zrobią ustępstwo w formie założenia gimnazyum niemieckiego w Krakowie. To ostatnie nie byłoby jednakże tak szkodliwe, jak istnienie w Brodach gimnazyum niemieckiego. Przedewszystkiem wobec licznych gimnazyów polskich w Krakowie jedno gimnazyum niemieckie niezgermanizowałoby Polaków, gdyż chodziliby do niego Niemcy prawdziwi. I wówczas pokazałoby się, że tych ostatnich jest niesłychanie mało i że zakładanie dla nich specyalnego gimnazyum jest absurdem.

Wogóle żadnego niebezpieczeństwa germanizacyi w Galicyi obecnie już być nie może, a takie przeżytki systemu lat dawnych, jak gimnazyum brodzkie, są przykrą niedogodnością, niczem więcej. Natomiast na kresach zachodnich Galicyi, na granicy Śląska i na samym Śląsku — w promieniu Białej i Bielska—germanizacya jest dotychczas czynnikiem niebezpiecznym wskutek olbrzymiej przewagi kapitału niemieckiego. W gminach czysto polskich, gdzie Niemców wcale prawie niema, powstają dzięki subsydyom bogato uposażone szkoły niemieckie, do których wciąga się dzieci robotników polskich, zależnych od kapitalistów niemieckich.

Obecnie np. Niemcy postanowili założyć w Dziedzicach niemiecką szkołę czteroklasową, pomimo że w tej osadzie Niemców jest niezmiernie drobna garstka i że miejscowa szkoła polska oddawna już, choć bezskutecznie, walczy o rozszerzenie. Projektowana szkoła niemiecka ma kosztować 30,000 koron. Z tej sumy kolej północna, rafinerya i walcownia cynku przyrzekły dać 50,000 koron, a gminy Czechowice i Dziedzice resztę. Dotychczas gminy te opierały się tym zakusom, ale w ostatnich czasach przypuszczono do nich szturm energiczny. Starosta bielski przyjechał osobiście do Dziedzic, kazał zwołać reprezentantów obu gmin opornych i namawiał ich usilnie do skorzystania ze świetnej sposobności zdobycia bardzo tanim kosztem niepospolicie pożytecznej instytucyi. Tłomaczył, że nie będzie to ich prawie nic kosztowało, gdyż po za tymi 30,000, które otrzymają na niesłychanie dogodnych warunkach, jako pożyczka długoterminowa, nie zagrażają im żadne wydatki. Chłopi przygnębieni wymową starosty, poczęli się chwiać, ale jeszcze ostatecznie nie ustąpili. Dziedzice nie dały dotąd stanowczej odpowiedzi, a Czechowice zastrzegły sobie 6 dni do namysłu. Kto wie jednak, czy ludzie ci nie ustąpią naciskowi urzędowemu.

Wobec naporu fali germanizatorskiej na zachodnie kresy polskiego obszaru narodowościowego działalność Tow. szkoły ludowej, sztucznie kierowana obecnie głównie na wschód, zwłaszcza na terenie, ulegającym wpływowi Białej i Bielska, powinna być wzmożona. Tych paru szkół, które z funduszów Towarzystwa są tam utrzymywane, nie wystarcza i należałoby pomyśleć jak najprędzej o stworzeniu nowych placówek. Tymczasem z ostatniego sprawozdania zarządu głównego Towarzystwa widać, że stan finansowy tej instytucyi dużo pozostawia do życzenia. Pomimo olbrzymiego obrotu w kasie centralnej oraz bezwzględnego powiększenia majątku Towarzystwa, rachunki za rok ubiegły zamknięto z niedo-

---

nie dowieść, jak przy rozwiązywaniu teoremy“.

Wyobraził sobie, że się znajduje na zebraniu studentów, gdzie ze spokojem i pewnością siebie wykłada im całą sprawę. Jasno, dobitnie następuje zdanie po zdaniu, wszędzie spokojne, tryumfujące znaki równania. „Tak więc, widzicie... że.“

Mitrofan Wasilewicz z godnością poprawia okulary i uśmiecha się wzgardliwie. Następnie zaczyna dowodzić, lecz z przerażeniem dochodzi do wniosku, że wszystkie te słowa, ta logika i znaki równania — to jedno, a życie jego—drugie, i że w tem życiu niema ani logiki, ani znaków równania, ani żadnych innych dowodów, że on, Mitrofan Wasilewicz Kryłow, nie jest „szpiclem“. Gdy ktokolwiek, ta sama kursistka np., oskarży go o szpiegostwo, czy znajdzie coś takiego w swem życiu, coś określonego, jaskrawego, przekonywającego, co mógłby przeciwstawić temu upokarzającemu podejrzeniu? Oto patrzy nań swemi nieustraszonemi oczyma i mówi: „szpicel!“ i pod tym jasnym wzrokiem, na dźwięk tego okrutnego wyrazu, topnieją, jakby od ognia, kłamliwe pozory uczciwości. Straszna pustka. Mitrofan Wasilewicz milczy, lecz duszę jego rozdziera krzyk rozpaczy i przerażenia. Co to znaczy? Gdzie się to wszystko podziało? Na czem się wesprzeć, ażeby nie wpaść w tę czarną, okropną otchłań?

„Moje przekonania,“ mruczy do siebie, „moje przekonania. Wszyscy je znają. Moje przekonania. Oto np...

Szuka. Stara się przypomnieć sobie urywki rozmów, szuka w pamięci czegoś wyraźnego, silnego i nic nie znajduje. Nasuwają się głupie zdania: „Jestem przekonany, Iwanow, żeś skopiował zadanie od Sirotkina“. Lecz czyż o takie przekonania tu chodzi? Przesuwają się w pamięci urywki artykułów gazeciarskich, czyjeś mowy, nawet przekonywające, lecz gdzież jest to, co on sam myślał, co sam mówił? Tego niema. Myślał i mówił, jak myślą i mówią wszyscy, znaleźć więc jego własne myśli i słowa jest tak samo niemożliwem, jak wśród jednakowych ziaren odnaleźć jedno, niczem się od innych nieróżniące. Szczęśliwym wybrańcom losu zdarza się nieraz powiedzieć coś niechcący lub po pijanemu, coś ciętego, niepowszedniego, co na długo zostaje w pamięci. Przed kilku laty nauczyciel kaligrafii, skromny staruszek, upił się na proszonym obiedzie u dyrektora, dawanym w dniu rozdania nagród uczniom, i krzyknął: „Żądam reformy średniej szkoły!“ I stał się skandal. Dotychczas wszyscy pamiętają ten wypadek, przy spotkaniu ze staruszkiem pytają go obowiązkowo: „jakże tam z tą reformą? i uważają go za radykała. A on, Mitrofan Wasilewicz, gdy się upije, zaraz zasypia lub płacze i ze wszystkimi się całuje, raz nawet odźwiernego pocałował; nie zapomina się jednak w mowie i nigdy niczego nie żąda. Bywają ludzie religijni lub niereligijni, a on...

„Acha, czekajcie, jest Bóg, czy też go nie

borem funduszu bieżącego w kwocie 50,000 koron. W celu pokrycia tego niedoboru, powstałego wskutek stałego niedopisywania dochodów i stale zwiększających się wydatków, zarząd główny Towarzystwa urządza loteryę i o pozwolenie na nią zwrócił się do Wiednia. Nie wiadomo jeszcze tylko, czy w Wiedniu spojrzą przychylnem okiem na to przedsiewzięcie, mające na celu między innemi i walkę z germanizacyą wciąż jeszcze przez Wiedeń popieraną.

Gdzie otwarte podtrzymywanie czynników germanizatorskich nie jest możliwe, tam władze centralne nigdy nie zaniedbają pominąć Galicyi przy obdzielaniu „krajów koronnych“ instytucyami pożyteczności publicznej.

Przed 7 laty została np. uchwalona ustawa, dotycząca wykonywania przez władze państwowe i autonomiczne nadzoru nad jakością pokarmów, napojów i wszelkiego rodzaju wyrobów, służących do użytku codziennego. Chodziło tu o ochronienie publiczności przed falsyfikatami, szkodliwymi dla zdrowia, w drodze regularnych i systematycznych badań chemicznych, bakteryologicznych itp. Funkcye te, wymagające pracy całej falangi bakteryologów, chemików itd., przekazane zostały specyalnym zakładom do badania pokarmów, napojów itd. Zakłady te, po za temi badaniami, mają obowiązek urządzania specyalnych kursów naukowych celem wykształcenia komisarzy targowych, mających z ramienia władz gminnych wykonywać kontrolę nad przedmiotami codziennej potrzeby.

Takie zakłady weszły w życie w r. 1897 w Wiedniu, w Pradze i w Krakowie. Pozostają one w pewnym związku z instytutami hygienicznymi wydziałów lekarskich, a profesor hygieny miejscowego wydziału lekarskiego jest zwykle dyrektorem takiej instytucyi. Dla tego też utworzono je w tych miastach, gdzie istnieją wydziały lekarskie, a Praga, ponieważ są tam dwa uniwersytety (czeski i niemiecki) z dwoma wydziałami lekarskimi, otrzymała dwa nawet. Dla całej Galicyi, do której przydzielono też i Bukowinę, ustanowiono jeden tylko w Krakowie, bo we Lwowie w r. 1897 nie było jeszcze katedry hygieny i instytutu hygienicznego na wydziale lekarskim. Kiedy jednak niebawem jedno i drugie zostało ustanowione, nikt nie wątpił, że i Lwów otrzyma zakład dla badania produktów pierwszej potrzeby. Tymczasem mijały lata a Lwów w dalszym ciągu był pasierbem pomiędzy miastami uniwersyteckiemi Austryi. Aż w końcu został otwarty taki zakład d. 18 lut. r. b., ale nie we Lwowie, tylko w Czerniowcach na Bukowinie, która w ten sposób otrzymała wyodrębnienie w osobny okrąg. Podnieść należy, że w Czerniowcach niema ani wydziału lekarskiego, ani instytutu hygienicznego, wskutek czego zakład czerniowiecki jest jedynym w Austryi, niepozostającym w związku z uniwersytetem. Stworzono więc instytucyę w drodze wyjątkowej z wyraźnem pokrzywdzeniem sąsiedniej Galicyi.

Ciekawe, czy Galicya prędko się doczeka reformy, która obecnie jest już rozważana w sferach miarodajnych i oddawna została uznana za konieczną. Chodzi o rekonstrukcyę powiatów galicyjskich przy sposobności projektowanego stworzenia jakiejś pośredniej władzy między starostwami a namiestnictwem. Projektują utworzenie t. zw. obwodów, któreby zawierały większą liczbę powiatów politycznych. Co do tych ostatnich, to w żadnej z prowincyj państwa Habsburgów nie są one utworzone z tak małem uwzględnieniem interesów ludności, jak właśnie w Galicyi. Trzeba bowiem wiedzieć, że miasto, wybrane na „stolicę“ powiatu, jest siedzibą starostwa, rady powiatowej, inspektoratu podatkowego, urzędu katastralnego, różnej kategoryi banków, miejscem dorywczych jarmarków i targów, jednem słowem punktem, gdzie ogniskuje się mnóstwo interesów życiowych ludności. Tymczasem niektóre z powiatów galicyjskich tak są obszerne, że miasta powiatowe zwłaszcza umieszczone gdzieś na jego krańcach (wypadek nierzadki), są dla ludności powiatu bardzo mało dostępne. Na zachodzie istnieją powiaty, składające się z długich na 12—14 mil, a wązkich na 2, 3 mile pasów; im zaś dalej na wschód, tem powiaty są obszerniejsze i mniej przystosowane do potrzeb ludności. Przesunięcie siedziby władz powiatowych do punktów bardziej dogodnych z jednej strony, a z drugiej podział olbrzymich powiatów na mniejsze staje się kwestyą coraz bardziej naglącą.

Daleki.

UWAGI
w sprawie wychodźstwa zamorskiego.

Wobec tego, że ludoruchy nowoczesne, zwane wychodźstwem, w poszukiwaniu chleba powszedniego, regulowane są silniejszymi czynnikami, niż tendencyjne artykuły dziennikarskie lub poufne rozprawy akademickie, możnaby nie zabierać głosu w tej sprawie, tembardziej, że to wszystko, co teoretycznie dałoby się przytoczyć dla wyzyskania i udoskonalenia tego zjawiska, w praktyce jest niewykonalne z powodów prawie od nas niezależnych. Z niechęcią przeto wypowiadamy się i głównie w celach informacyjnych dla ukrócenia wpływu rozwielmożnionych fikcyj i ułud, rozsiewanych przez blagierów i fantastów. Od niejakiego czasu bowiem grasują w społeczeństwie polskiem ludzie z rodzaju, zwanego przez Anglików „globetrotters,“ będący głównem ich źródłem. Społeczeństwo wyrobione i dojrzałe takich ludzi nie brałoby na seryo.

Owym „globetrotters” nie daje spać, dość smutna sława Bismarcków i Chamberlainów. Płytkie instynkta zbójeckie ci panowie maskują obłudnym patryotyzmem i potrzebą szerzenia kultury, w imię której popełniono prawie wszystkie zbrodnie międzynarodowe, to odurza takich swojskich rewolwerowych mężów stanu i robi z nich małych Bismarków i małych Chamberlainów. Ci mężowie stanu, na seryo traktowani, wprowadzają zasadę „sportu” do wysiłków społecznych. W praktyce objawia się to podniecaniem ani zaszczytnych, ani rozumnych chuci bez możności ich zaspokojenia, co jest oczywiście niezdrową onanią ducha. Tej onanii chcielibyśmy zapobiedz, o ile chłodne uwagi w palących kwestyach to zrobić mogą. Posiadamy kosztowną i wątpliwie przyjemną znajomość zamorskiego wychodźstwa polskiego z bezpośredniej obserwacyi wieloletniej. To też nie będziemy się wyręczać statystyką, która tylko wtedy ma wartość jeśli zgromadzoną jest w sposób wartościowy i przez wartościowego zbieracza. Nie będziemy się też wyręczać wielomównemi książkami o hypnotyzujących tytułach i autorach, natomiast powiemy to wszystko, co nam nakażą nasze zmysły i osobiste doświadczenie. Zastrzeżenie to robimy w tym celu, ażeby nie podejrzewano nas o uczoność, tak często kłócącą się z rzeczywistością i ze zdrowym rozsądkiem.

Zdaniem naszem wychodźstwo należy do zjawisk nietylko koniecznych, stosunkami politycznymi, ekonomicznymi, społecznymi wymuszonych, lecz i korzystnych. Podnosi ono płacę zarobkową, zabezpiecza od pewnej ilości nędzy z tem wszystkiem, co nieodłącznie jej towarzyszy, rozszerza zakres potrzeb kulturalnych ludu wychodźczego, kształci go, przysparza krajowi kapitałów. W niem, na skutek całego szeregu niszczących warunków bytu, wyraża się energiczny odruch społeczny. Tylko samolubstwo klasowe może usposobić nieżyczliwie względem ruchu wychodźczego. Wszystkim krajom jest on wspólny. Naród polski nie mógł nie uledz tej konieczności, zwłaszcza że przeludnienie, wobec upośledzonego życia ekonomicznego, musiało tu daleko wcześniej nastąpić. Ten czynnik, przyśpieszający wychodźstwo ludności ubogiej, sparaliżowanym został przez inne, jak: odsunięcie krajów polskich od brzegów morskich, nizki poziom oświaty ludu ubogiego, brak stosunków handlowych z krajami zamorskimi i związanej z tem floty kupieckiej. Nie bacząc na to, moment wychodźczy nastąpił, trwa dotąd i przybrał ta-

---

ma? Nie wiem, nic nie wiem. A ja, nauczyciel, czem jestem? Czy istnieję rzeczywiście?“

Ręce i nogi Mitrofana Wasilewicza lodowacieją. Nie jest więc nawet przekonany o swem istnieniu. Oto siedzi ktoś na skwerze i pali papierosa. Jakieś drzewa wilgotne, śliskie. Jakiś deszcz. Jakaś latarnia migoce, po szkle spływają krople. Niepojęte. Pusto i straszno!

Mitrofan Wasilewicz zrywa się i idzie.

Brednie, brednie. Nerwy wprost się rozhulały. A czem jest właściwie przekonanie? Słowem, tylko słowem. Wyczytał ktoś jakieś słowo, ot i ma przekonanie. Katoda, logarytmy! Czyny, czyny rzecz główna. Co to mi za szpieg, który...“

Lecz czynów też brak. Są różne czynności: służbowe, rodzinne i nijakie, lecz czynów nie ma. Ktoś usilnie i niezmordowanie żąda: „powiedz, coś zrobił?“ i on szuka ze smutkiem i rozpaczą. Przebiega myślą wszystkie lata swego życia, lecz każdy rok wydaje jednostajny, pusty i drewniany dźwięk: „biaa! Bez treści, bez sensu. „Jestem przekonany, Iwanow, żeś skopiował zadanie od Sirotkina“. Ach, nie to, nie to.

„Proszę pani“, mruczy Mitrofan Wasilewicz, schylając głowę i gestykulując z umiarkowaniem i przyzwoitością, „przecie to niemądrze (proszę mi wybaczyć ten wyraz) uważać mię za szpiega. Ja—szpicel? Co za dziwactwo! Niech mi pan pozwoli dowieść. Tak więc, widzimy...

Pustka. Gdzie się wszystko podziało? Wie przecie, że coś robił, ale co? Wszyscy domowi i znajomi mają go za człowieka rozumnego, dobrego i sprawiedliwego; musi to mieć swoje podstawy. Ach, prawda! Kupił perkalu na suknię dla babki, a żona powidziała wówczas: „zanadtoś dobry Mitrofan Wasilewicz“. Lecz i szpiedzy mogą kochać swe babki, kupują im też perkale, pewnie takie same, obrzydliwe, czarne w grochy. A jeszcze co zrobił? Chodził do łaźni, wycinano mu nagniotki. Nic, nie to. Postawił Karpowowi trójkę zamiast dwójki. „Jestem przekonany, Iwanow, żeś skopiował zadanie...“ Ach, głupstwa, głupstwa!

Mitrofan Wasilewicz bezwiednie rusza ku domowi tą samą drogą, gdzie znikła kursistka. Nie zdaje jednak sobie z tego sprawy, czuje tylko, że już późno, że jest ogromnie zmęczony i że chce mu się płakać, jak Iwanowowi, złapanemu na gorącym uczynku.

(C. d. n.).

Przeł. *J. Piekarska.*



kie rozmiary, że musiał znaleźć odbicie w literaturze. Literatura polska o wychodźstwie jest nawskroś reporterską i jako taka nie może służyć za materyał przy ocenianiu spraw jego.

Raz opowiada nam ona o tak świetnym rozwoju żywiołu polskiego np. w Paranie pod względem gospodarczym i kulturalnym, że pawilon w stylu zakopiańskim na wystawie Kurytybskiej podziw wzbudzał i zaszczycony został uznaniem, pochwałą i wizytą gubernatora stanu. Innym razem dowiadujemy się, że w tejże Paranie wre tytaniczna walka żywiołu polskiego z niemieckim, przyczem korespondent uspakaja nas, że żywioł polski trzyma się dzielnie, gdyż w ostatnich czasach „nasze szeregi" wzbogaciły się „dzielnemi jednostkami". Innym znów razem nawołują do ofiar pieniężnych na rzecz szkolnictwa polskiego w Paranie, do ratowania zagrożonego tam żywiołu polskiego lub alarmują wieściami o epidemii bakatyzmu, która posługuje się odurzającemi kroplami suggestyi religijnej.

Z tych elaboratów dziennikarskich mógłby czytelnik odnieść wrażenie, że wychodźstwo polskie w Paranie jest poważnym czynnikiem ekonomicznym i kulturalnym, równouprawnionym i cenionym przez władze i ludność tamtejszą, że walka rasowa germańsko-słowiańska wre tam na dobre z rezultatem pomyślnym dla nas, dzięki owym „dzielnym szeregom z inteligencyi".

Nie możemy wchodzić w drobiazgowe szczegóły. Ktoby chciał wiedzieć, jakim to czynnikiem ekonomicznym i kulturalnym jest żywioł polski w Paranie, niechaj przeczyta broszurę p. t. „Stan obecny wychodźstwa polskiego w Paranie" wydaną dnia 18 kwietnia 1903 r. w Toledo, w stanie Ohio w Stanach Zjednoczonych. Polskie pawilony na wystawie kurytybskiej są zabawką zamożnych przybyszów polskich z Europy.

Walk rasowych a tem samem i zwycięztw niema w Paranie z tej racyi, że Niemcy tu jeszcze nie dostali pomieszania zmysłów, a ogół wychodźczy, polski nie odnajduje w sobie żadnego bodźca do donkichockich zapasów. Niemcy, podejmujący walkę rasową w Paranie z wychodźstwem polskiem, któremu sprzedają z zyskiem, to co mają do sprzedania i od którego kupują z zyskiem to, co ono ma do sprzedania, byliby podobni do ludzi, biczujących się, o instynktach samobójczych. Widocznem też jest, że walk rasowych nie może być w kraju mającym obszar Królestwa Pruskiego i ludność, zaledwie dorównywającą liczbie mieszkańców drugorzędnego wielkiego miasta w Europie. Walki rasowej w Paranie być nie może jeszcze i z tego powodu, że reprezentowane tam grupy etniczne samorzutnie urządziły się na zasadach podziału pracy życia zbiorowego. Polacy wzięli rolnictwo, Niemcy przemysł i handel, Brazylianie hodowlę bydła, dostawę herva-mate i politykę, Włosi południowe owoce, uprawę winnic, trochę rolnictwa i trochę handlu. Ciekawą jest rzeczą, jak przy takim układzie stosunków handel i przemysł mogą kłócić się np. z rolnictwem, wzajemnie się potrzebując. Nie chcę twierdzić bynajmniej, żeby reprezentowane w Paranie grupy etniczne żyły ze sobą w jakiejś sielankowej miłości, niechęci wzajemnej jest dość. Polacy żywią barbarzyńską nienawiść religijną względem protestanckich Niemców i zazdroszczą im względnej pomyślności materyalnej. Niemcy poniewierają Polakami i z góry ich traktują, jak to zwykle czynią kulturalnie wyżsi, świadomi swego znaczenia względem pół lub całych barbarzyńców. Brazylianie ze swej strony spoglądają niechętnie i na Niemców i na Polaków, odczuwając niejaką zależność od nich, niepokojąc się o trwałość swego zwierzchnictwa. Wszyscy zaś mają to wspólnego, że z utęsknieniem wyglądają jakiejkolwiek emigracyi. chociażby hotentockiej, byle zaopatrzonej w pugilaresy a nie torby żebracze, wiedzą bowiem z doświadczenia, że w takich razach wszyscy zarabiają: i urzędnik, i hodowca-brazylianin, Niemiec i Polak. Dla tych to powodów walk rasowych w Paranie niema, są one niezgodne z elementarnym zdrowym rozsądkiem.

Zamiast tego istnieje nienawiść brazylijskiej półinteligencyi, stanowiącej rząd, do przybyszów europejskich. Nienawiść ta, podyktowana instynktem samozachowawczym jest bardzo naturalnym i koniecznym objawem. W formach barbarzyńska i dzika, będąc jedynie psychicznym wyrazem kryminalisty, zaniepokojonego o swobodne uprawianie swego rzemiosła rzezimieszka, jest sprzedawaną za patryotyzm brazylijski. Zwraca się ona głównie przeciw Niemcom, gdyż brazylijska półinteligencya urzędowa instynktowo odczuwa i rozumie, że ukrócenie jej swawoli może najprędzej spotkać ją za staraniem Niemców. Ponieważ Polacy są żywiołem ciemnym, barbarzyńskim, niesolidarnym, potulnym, cierpliwie znoszącym wszystkie wybryki kanalii urzędniczej, więc ci panowie nie trudzą się żywieniem do nich nienawiści. Nienawiść jednak zawsze się znajdzie, ilekroć objawi się samodzielność lub siła żywiołu polskiego.

(c. d. n.)

Obserwator.

List z Wiednia.

18 marca.

W parlamencie wiedeńskim toczy się bardzo ciekawa dyskusya. W chwili, kiedy cesarz i król prowadzi z politykami węgierskimi układy, które skończyć się mogą, a nawet muszą ustępstwami na korzyść Węgier, reprezentacya austryacka zapragnęła, żeby usłyszano także jej głos. Poseł Derschatta, przywódca najsilniejszej z partyj niemieckich, tak zwanej partyi ludowej, która w gruncie rzeczy jest partyą średniego mieszczaństwa i średnio zamożnych rolników, człowiek bardzo wpływowy w parlamencie, o którym mówią, że prawie napewno wkrótce zostanie ministrem sprawiedliwości, postawił wniosek, ażeby izba poselska wybrała specyalną komisyę, którąby się zastanowiła nad tem, co ma zrobić Austrya na wypadek gdyby Węgry uzyskały od cesarza i króla zgodę na zerwanie wspólności celnej, albo też, co jednak jest mniej prawdopodobne, na większe unarodowienie armii węgierskiej. W uzasadnieniu swego wniosku, Derschatta zaznacza dyplomatycznie, a kolega jego po partyi, nie będący kandydatem na ministra, Lecher, podkreśla ostro i szyderczo, że korona w 1860 roku zawarła ugodę z Węgrami, w której przecież szło także o bardzo żywotne interesy Austryi. Nie pytając wcale parlamentu austryackiego o zgodę, przedstawiono mu umowę gotową, i on musiał ją zatwierdzić. Później przy wszystkich odnawianiach ugody i przy ustanawianiu kwoty (czyli stopy procentowej udziału obu państw we wspólnych wydatkach), korona zawsze godziła się na nowe korzyści materyalne dla Węgier, które były stratami ekonomicznemi dla Austryi, byle tylko okupić zezwolenie Węgrów na odnowienie ugody i na nietykalność t. zw. „czynników mocarstwowych", czyli wspólnej dyplomacyi a przedewszystkiem wspólnej armii. Ciężkie położenie przemysłu austryackiego tembardziej uświadomiło mieszczaństwu niemieckiemu a po części i czeskiemu, że tak ścisła łączność państwowa z Węgrami, która pociąga za sobą opłatę $^{2}/_{3}$ wspólnych wydatków przez Austryę, jest ekonomicznie szkodliwą; świadomość ta i zarazem niepopularność ugody wzrastała coraz bardziej w miarę tego, jak Węgry, niechcąc zadawalać się rolą rynku dla austryackiego przemysłu, zaczęły popierać rozwój własnego przemysłu i użyły w tym celu taryf kolejowych, utrudniających konkurencyę dowozowi austryackiemu, środka, równoważącego po części brak linii celnej między Węgrami a Austryą. Wszechniemcy, którzy kilka lat temu byli bardzo popularni, wskutek zaostrzenia się walki pomiędzy Niemcami i Czechami, propagowali program luźnej unii osobistej Austryi z Węgrami, ażeby Austrya mogła zawrzeć unię celną z Niemcami. Pod wpływem tych wszystkich czynników, musiały i umiarkowane partye niemieckie zająć względem ugody z Węgrami stanowisko krytyczne, a stanowisko to teraz po zwycięztwie wyborczem Kossutowców i wynikającem stąd zwiększeniu węgierskich żądań, manifestują tem chętniej, że wiedzą, iż w gruncie rzeczy pomimo radykalnych frazesów, nie stają wcale w sprzeczności z pragnieniami korony i rządu.

Jest bowiem w całej tej kompanii niemiecko-austryackich partyj przeciw Węgrom wielka obłuda. Przywódcy ich mówią: Oto cesarz austryacki raz jeszcze ulegnie przewadze króla węgierskiego i wobec stanowczego zachowywania się większości parlamentarnej w Peszcie zgodzi się może na zerwanie wspólności celnej albo na takie kroki, któreby w następstwie prowadziły do rozdwojenia jedynej dotychczas armii na austryacką i węgierską. Ale niech panowie Madziarzy nie myślą, że my tym razem będziemy spokojnie na to patrzyli. Wspólność celna jest pożyteczna nietylko dla naszego przemysłu, ale może jeszcze bardziej dla węgierskiego rolnictwa, które w przemysłowej Austryi ma uprzywilejowany rynek zbytu dla swoich wytworow. Węgry chcą znieść wspólność celną za jakieś lat 10, a tymczasem przygotować się stopniowo do zmiany ekonomicznej, jaka stąd wyniknie. Otóż my nie będziemy tacy naiwni: jeśli tylko wspólność celna zostanie w zasadzie naruszona, to my zaprowadzimy kordon celny natychmiast, ażeby wymódz na Węgrach trwałe, korzystne warunki dla naszego przemysłu wzamian za dopuszczanie ich zboża i bydła. A jeśli armia ma już przestać być wspólną i część jej ma się stać narodową, węgierską, to Austrya ani myśli płacić nadal $^{2}/_{3}$ ogólnych kosztów; niech każde z dwóch państw ma własny budżet wojskowy.

I wszystko to byłoby bardzo pięknie i dobrze, gdyby nie to, że ci mężowie stanu bez ustanku myślą, że taką groźbą zwiększenia ciężarów finansowych odstraszą Węgrów i skłonią ich do zrzeczenia się rozdwojenia armii. Na utrzymanie jedności tej armii, w której dotychczas znaczna większość oficerów jest narodowości niemieckiej, na utrzymanie fikcyi wielkiej, jedynej monarchii habsburgskiej panom tym w rzeczywistości daleko więcej zależy, niż na interesach przemysłu austryackiego albo godności i sile parlamentu wiedeńskiego. Żaden z nich nie odważył się powiedzieć tego, co pisze Kossuth w swym organie, że dzisiaj już król niema prawa nazywać armii „swoją armią" i traktować jej, jako wyłączną własność, ponieważ minęły czasy najemników i armia jest dziś częścią i organem narodu. Dlatego nikt się z nimi nie będzie liczył, Węgrzy znają ich doskonale i nie zlekną się ich gróźb, i oni sami w końcu na żądanie korony zatwierdzą choćby najmniej korzystną pod względem ekonomicznym ugodę z Węgrami, byle tylko uratować jak najwięcej z drogocennej jedności „armii".

W przeciwstawieniu do nich bardzo godna uwagi jest mowa, którą wygłosił poseł socyalno-demokratyczny dr. med. Ellenbogen. I on stwierdza, że Habsburgowie za powolność Węgrów zawsze płacili ustep-

stwami z austryackiej kieszeni. W tem nawet widzi jedną z przyczyn, dla których postarano się, żeby parlament austryacki był zawsze tak słaby i bezkrwisty, gdyż w przeciwnym razie bardzo trudno byłoby przeprzeć w nim ugodę z Węgrami. Ale właśnie dlatego oświadcza się w imieniu swej partyi za zniesieniem dualizmu, za unią z Węgrami tak luźną, ażeby każdy parlament odzyskał zupełną władzę i kontrolę nad swoją częścią armii i całem życiem państwowem. Oprócz tego i ze względów czysto zasadniczych oświadcza, że jego partya posiada jak najżywszą sympatyę dla historycznej walki o niepodległość ludów, zamieszkujących Węgry. Jest to walka słuszna. „Czyż Habsburgowie nie topili zawsze we krwi dążeń wszystkich ludów do wolności? Czyż sądzicie, że potraficie stłumić dążenia wolnościowe narodu, który tak gorąco kocha wolność? Udało wam się zwyciężyć pod Vilagos, ale idea Kossutha żyje jeszcze dziś na Węgrzech, i wiedeńska klika dworska przyczyniła się tylko do jej utrzymania przez srogi ucisk po zwycięztwie, przez egzekucye patryotów, przez rządy Haynau'a. Rany się zagoiły, lecz ich nie zapomniano. I gdy dziś pojawia się w pałacu cesarskim syn Kossuth'a, ażeby przynieść cesarzowi zimno rozważone rozkazy swej partyi, to zdaje się, jak gdyby Kossuth ojciec wołał: „Exoriar aliquis meis ex ossibus ultor!“ (Powstanie kiedyś mściciel z moich kości). A chociaż liberalna partya węgierska jest zdeprawowana, to jednak i w niej nie znajdzie się nikt, ktoby pod wpływem serwilizmu i nizkiej ambicyi osobistej, chciał zdradzić interesy swego narodu“.

Mówca szydzi dalej z t. zw. „chłopistów“, to znaczy konserwatystów i chrześciańsko-socyalnych, którzy zachwycają się rozkazem dziennym cesarza do armii, datowanym w sierpniu 1903 roku z Chłopów w Galicyi i zapowiadającym, że cesarz nie odstąpi ani kroku od jedności armii. Jak wiadomo w kilka tygodni po tym rozkazie musiał się zgodzić na węgierski język w tamtejszych kołach wojskowych i w korespondencyi między władzami wojskowemi a cywilnemi. Ale ci fanatycy militaryzmu i absolutyzmu z obozu Luegera powtarzają teraz hasło, wypowiedziane rzekomo przez następcę tronu, że Węgrów trzeba poskromić orężem. Ellenbogen zapowiada im, żeby się nie łudzili, bo dzisiaj może i austryaccy żołnierze nie daliby się tak, jak przed pół wiekiem, użyć za bezmyślne narzędzie do tłumienia cudzej swobody, a przytem nie możnaby też liczyć na obcą pomoc...

Niech się też nie łudzą „chłopiści“, że kontrrewolucya austryacka mogłaby się dzisiaj oprzeć na narodowościach słowiańskich i rumuńskiej, które Węgrzy uciskają. Narodowości te chcą się pozbyć ucisku, dążą do równouprawnienia, zwalczają centralizm peszteński, ale może jeszcze bardziej nienawidzą centralizmu wiedeńskiego. Dzisiaj i w Chorwacyi już by się nie znalazł Jellaczyc. Konstytucya węgierska i teraz już jest coś warta i musi się rozwijać coraz bardziej. „Czemże jest nasz austryacki parlament? Narzędziem do uciskania ludów austryackich w rękach rządów, które same są tylko ślepemi narzędziami dynastyi“. A na Węgrzech zwycięzka partya niepodległości zaciągnęła pewne, moralne zobowiązania, które spełnić musi, choć w części, i dlatego można się z pewnością spodziewać pewnej reformy prawa wyborczego, w przyszłości i głosowania powszechnego, które pozwoli wszystkim narodowościom bronić swych praw.

Z parlamentu wiedeńskiego ubyła charakterystyczna postać: hr. Walsersheimb, generał i minister obrony krajowej. Od lat 25 zajmował on ten urząd w dziesięciu różnych ministeryach, nie dbając zupełnie o ich zabarwienie polityczne, podpisując z równą obojętnością rozporządzenia Badeniego, wprowadzające język czeski w urzędach, i rozporządzenia Clary'ego, znoszącego go. Był on wcieleniem tej zasady pół absolutycznej, że sprawy wojskowe nietylko nie zależą wcale od kierunku polityki, ale także od woli i kontroli parlamentu, lecz wyłącznie od monarchy. Poprzednik jego, Horst, za najpoddańszy memoryał, w którym zwracał uwagę na szkodliwość wprowadzenia przez Taaffego Czechów do korpusu oficerskiego, dostał dymisyę i popadł w taką niełaskę, że musiał porzucić służbę czynną. Welsersheimb był też tylko wiernym sługą swego pana. Gdy był młodszy, powiedział raz w parlamencie, że całą jego polityką jest szabla. Później, gdy z wtargnięciem piątej kuryi i posłów socyalistycznych zaczęła się surowa, często gwałtowna krytyka okrucieństw, popełnianych przez zwierzchników na żołnierzach, pod wytwornem zachowaniem się staruszka kryła się głęboka pogarda dla cywilów, a jego odpowiedzi na interpelacyę są klasycznymi wzorami przemilczania, zamazywania i przekręcania niedogodnych faktów. Ustąpił, żegnany nadzwyczaj łaskawym reskryptem cesarskimi i... sympatyami Koła polskiego...

ZZ.



LIBERUM VETO.

Chaos.

Najwierniejszym wyrazem dla obecnego stanu naszych pojęć a poczęści także stosunków jest—chaos. Ta bijąca w oczy, zasłaniająca światła i zasiewająca drogi kurzawa słów, haseł, zasad jest stałą przygodą życia wszystkich społeczeństw, ale sroży się ona ze szczególną mocą i częstością w tych, w których dopiero choroby organizmu obnażają jego potrzeby. Gdzie bowiem niema stałej, spokojnej narady obywateli nad warunkami zbiorowego zdrowia, tam od czasu do czasu musi wybuchać krzykliwa kłótnia lekarzy i znachorów o doraźne środki ratunkowe. Wówczas na tle życia odbija się obraz, który widzimy u nas obecnie: logika bohatera Dickensowskiego, według której 2 razy 2 wypada Hanibal, poleca się jako wzór ścisłości rozumowania; dwunastoletnie dzieci w kajetach kaligraficznych piszą na dwu liniach odezwy do narodu; histeryczni narwańcy stoją przy zwrotnicach ruchu społecznego i wekslują go na tory, na których on niechybnie rozbić się musi; gadatliwe mamy rozstawiają swoje warty przy skarbcach dobra ogólnego; specyaliści w grze bilardowej i karcianej, którzy ani jednego dnia nie zmarnowali na myślenie socyologiczne, mianują się mężami stanu; nadewszystko zaś każdy rezonujący próżniak, każdy frazesowy blagier, każdy pyszałek, którego ambicya nie karmi się żadnem trwalszem zadowoleniem — każdy z owych ledwie dostrzegalnych punktów ludzkich uważa się za środek, około którego krążyć powinien świat najdonioślejszych spraw bieżących. Jak rzekłem, ten zamęt i ta pretensyonalność zdziebeł nie jest naszym jedynie wytworem? Jest to powszechnie znany produkt życia w ciemnem podziemiu, w suterenach dusznych i słabo oświetlonych małemi, nigdy nieotwieranemi okienkami. W takich warunkach rozrastają się ustroje niższe a marnieją wyższe, społeczeństwo rozdrabnia się, przestaje być organizmem i zamienia się na kolonię istot luźnie spojonych, niezrosłych z sobą, daremnie wysilających się na funkcye samodzielne i tracących wszystkie korzyści działania łącznego. Postawić nawet można regułę, że każda nasza czynność społeczna natychmiast wyradza się w bezład—w anarchię. I to właśnie jest źródłem jej niemocy, dlatego my nieporównanie mniej robimy, niż byśmy mogli i niż jesteśmy zdolni. Nie chcę tu naturalnie przemawiać za przetapianiem odmiennych żywiołów na mieszaninę, i za wyrabianiem aliażów ideowych. Pragnę tylko zaznaczyć, że pomimo ogromnych różnic stronnictwa wszystkich zdrowych i w walce o byt zwycięzkich narodów układają się w ten sposób, że nad niemi wznosi się i łączy je jakaś kopuła, która stanowi najogólniejszą syntezę ich pozornie całkiem rozbieżnych dążeń. Chociaż rozmaite partye ciągną wozy państw w przeciwne strony, jednakże te wozy u Francuzów, Anglików lub Niemców posuwają się ciągle po pewnym szerokim, stałym gościńcu, który jest drogą ich kultury, kierunkiem ich rozwoju. Otóż u nas taki gościniec często się przerywa i rozszczepia na mnóstwo ścieżyn, po których zwykł biegać chaos i które nie prowadzą do żadnego celu. Nieraz też jedynym wynikiem naszych długich rozpraw i starań jest zmęczenie, odbierające chęć do powtórzenia próby błąkania się po manowcach.

Najznamienniejszym rysem stronnictw chorowitych i bezpłodnych jest ich wzajemna nienawiść. Zużywają one daleko więcej energii na kłótnię z innemi, niż na rozwijanie i urzeczywistnianie swoich programów. Są nawet takie, których fizyognomia odbija się wyraźnie tylko w negatywie, t. j. wiadomo dokładnie tylko to, czemu przeczą i kogo nienawidzą. Im cięższe zaś są warunki życia zbiorowego, im trudniej w nich rozwiązywać jego zagadnienia praktyczne, tem bardziej wytęża się owa partyjna złość, która wówczas bywa przejawem instynktu samozachowawczego. Kto nie może okazać się mężnym, staje się przynajmniej krzykliwym, kto nie może zwyciężyć, przynajmniej znieważa. A znieważa i spotwarza nietyle wspólnego przeciwnika, który jest groźnym, ile towarzysza innej chorągwi, który nie jest niczem zabezpieczony. Przyjrzyjcie się naszym partyom: czyż to nie próżniacze a swarliwe baby, które ciągle przerzucają sobie przez płot sąsiedzki złorzeczenia i obelgi o cokolwiek—o to, że kogut do cudzej kury przefrunął lub że krowa o cudzy słup szyję sobie wytarła. Rośnie w Galicyi stronnictwo, którego duże gałęzie przez mur graniczny do nas się zwieszają, a którego publicznie odmawiane pacierze i wyznania wiary są przeważnie szkalowaniem innych grup społecznych. Niema kłamstwa na ten użytek ukutego, niema potwarzy, której by ono się powstydziło i nie uważało jej za niegodną swego honoru. Jakie są przekonania i cele tej gromady — można nieraz wątpić, ale za to komu stale wymyśla, to jest powszechnie wiadomem. Taktyka walk polityczno-społecznych zanieczyszcza się wszędzie i zawsze tendencyjnością; ale czy możemy wyobrazić sobie np. w Niemczech wielką partyę, która by bez skrupułu posługiwała się oszczerstwem i to szczególnie w stosunku do—że tak powiem—spółorężnych? Czy jest np. możliwem, ażeby ludowcy oczerniali głównie socyalnych demokratów lub odwrotnie? U nas są to wypadki nietylko możliwe, ale nawet najczęstsze. Jeżeli powstanie jakaś większa skupina ludzka, to głównem jej zadaniem jest pokąsać i pokłócić wszystkie najbliżej z nią spokrewnione. Czy zaś nieustanny widok takiego zagryzania się w obrębie własnego lub najbliższego gatunku może nie chaotyzować pojęć i stosunków?

Nie potrzebuję chyba wymieniać czytelnikom świeżo tak splątanych u nas spraw,

że nikt ich wątku nie rozwikła. Nie potrzebuję wskazywać sztraszliwego pomieszania języków, szerokiej sieci przecinających się prądów, lekceważenia wszelkiej powagi, niedowierzania wszelkiemu przewodnictwu, zbuntowania się dzieci przeciwko rodzicom, poniewierania pokoleń starszych przez młodsze, wogóle tego moralnego rozpadu, jakiemu uległo nasze społeczeństwo, bo to są objawy aż nazbyt widoczne. To nie jest zdrowa i płodna fermentacya, nie postępowe różniczkowanie się pierwiastków, ale chorobliwa ich atomizacya. Zanim podejmie się jakakolwiek poważna praca narodowa przedewszystkiem należy ten proces powstrzymać, nie czekając, aż on sam się wyczerpie, czyli — przyprowadzić chaos do jakiegoś ładu społecznego, którego wymaga każda chwila rozwoju, a którego wymaga obecna ze szczególnem naciskiem. Nie przeczę, że takie przedsięwzięcie w takich warunkach jest ogromnie trudnem, ale jeśli nawet ludzie nie mogą czegoś dokonać, to muszą w każdym razie dla pożądanych objawów wytwarzać jak najszerszą i jak najmocniejszą dążność, która prędzej lub później dotrze do swego skutku. Tej zagadki bytu, jaką dziś rozwiązać musimy, może już Sfinks nigdy nam nie powtórzy, a gdy jej nie rozwiążemy dobrze, niewątpliwie strąci nas w przepaść. Trzeba to wyraźnie sobie uprzytomnić i pojąć, że tu chodzi o wielką robotę, której zaledwie podoła geniusz rozumu i miłości, a której nie poradzi najkrzykliwszy jarmark stronnictw i najbrutalniejsze na nim połajanki. Więc co czynić po za uporządkowaniem myśli ogółu? Naprzód szczerze, gorąco i niezłomnie tego chcieć, czego się chce. Powtóre wezwać opinię publiczną, ażeby starannie przeprowadziła dobór naturalny najdzielniejszych jednostek, którym społeczeństwo bez trwogi mogłoby powierzyć wytknięcie dróg najbliższej przyszłości. Potrzecie, bardzo gruntownemi studyami przygotować się do rozważania i rozstrzygania wszystkich spraw polityczno - społecznych z naszym bytem związanych, które wydają nam się zbyt proste i zbyt łatwe. Ani ochotnictwo lichych aktorów z pozami i gestami mężów stanu, ani dyletantyzm frazesowiczów, prześlizgujących się po każdej kwestyi nie wystarczy dla dźwignięcia ciężaru doby bieżącej. My dotąd z tem ogromnem brzemieniem się bawimy i bodajby ono nas nie przygniotło. Tłum płynie wielką rzeką na widowisko, a w bramie, wiodącej do areny, ciśnie się kupa zapaśników, mniemających, że palmę turnieju otrzyma ten, kto najprędzej wydmie i puści najbarwniejszy balonik. Gdyby zaś należycie rozumiano, o co na tej arenie chodzi, nie byłoby żadnego tłoku u jej wejścia i może nieraz byłaby ona pusta.

Posel Prawdy.

BADANIA NAUKOWE

Dr. Pascal Rossi.

„I suggestionatori e la folla".

Autor ustanawia też prawo psychometryi w stosunku do zbiorowiska, lecz skoro robi to gołosłownie i niczego nie poucza, to można owo prawo pominąć milczeniem.—Rossi mniema, że między psychologią zbiorowisk a psychologią jednostki są różnice ilościowe, które narastają do jakościowych. Omawiając „suggestyę tłumu", autor cytuje pogląd Lebona, podług którego czynność jednostki w tłumie obniża się w tym sensie, że bodźce pierwotne, idące od ośrodków rdzenia, otrzymują przewagę nad bodźcami, idącymi od ośrodków mózgowych, w dodatku każdy tu nastrój na mocy zarazy moralnej (naśladownictwa psychicznego), ujednostajnia się i potęguje. Oprócz tego ginie odpowiedzialność jednostki i wraz z nią jej wpływ, hamujący nizkie popędy. Jednostka w tłumie zdobywa poczucie siły, co zmienia jej zwykłe warunki czucia i myślenia. Hypnotyzowanie na jawie, naśladownictwo niedostatecznie tłomaczą psychologię tłumu, a zjawiska hypnotyczne, suggestyjne nie znajdują również zadawalającego wyjaśnienia naukowego za pomocą poznanych praw przyrody. Wszystko, co bałamutnego w tej sprawie rozmaici rezolutni uczeni wypowiedzieli, Rossi przyjmuje powściągliwie, co mu się chwali. Ogranicza się on do stwierdzenia podatności tłumu w uleganiu hypnozie na jawie (w stanie czuwania). Objaśnia on tę podatność przeważającą liczebnie obecnością kobiet, dzieci, histeryków neuropatów, alkoholików, umysłowo znużonych, stępiałych, wysłużonych żołnierzy, wogóle ludzi z osłabionem poczuciem osobowości. Na to składają się wyniszczające i zwyrodniające warunki, w których żyją i rozwijają się masy ludowe. Stojąca pozycya ciała bez ruchu, skupienie wielu na małej przestrzeni, czynniki meteorologiczne przyczyniają się, zdaniem Rossiego, do zwiększenia podatności tłumu do ulegania hypnozie na jawie. „Ufność", pochodząca z „uroku", jakim przewódca jest otoczony, potęguje także tę podatność. W tym stanie hypnozy nastrój suggestyonowany dochodzi do egzaltacyi u najwięcej przeczulonych osobników; towarzyszyć mu mogą konwulsye, letarg, katalepsya.

Do rzędu przewódców pośrednich zalicza Rossi ludzi pióra: poetów, nowelistów, moralistów, uczonych i t. p. Wyodrębnia on ich z tego powodu, że oddziaływają oni na tłum rozsiany, a nie na skupiony, że środki ich są odmienne. Przy oddziaływaniu przewódców bezpośrednich na tłum skojarzenie i suggestya idej wywołaną jest przez podobieństwo przewódcy z tłumem, przy oddziaływaniu zaś przewódcy pośredniego — przez jego przeciwieństwo z tłumem.

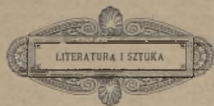
O ile bezpośredni przewódcy tłumu posiadają zdolność odczuć, świadomość współczesną duszy zbiorowej, o tyle przewódcy pośredni przeczuwają świadomość przyszłą tej duszy. Siłą suggestyjną przewódcy pośredniego ma być, między innemi, „odmienna erudycya", a to w ten sposób, że tłum, znużony długotrwałem wyznawaniem jednej idei, jest usposobiony do odczucia odradzającej się w nim idei przeciwnej. Przewódcy pośredni często odbiegają rasowo od tłumu podległego ich wpływowi. Przeciwstawienie się takiego przewódcy tłumowi znajduje swe źródło w różnicach rasowych. Przy takiem przeciwstawianiu się tłum odczuwa potrzebę uzupełnienia, zsumowania swych przymiotów z przeciwnymi lub osobliwymi przymiotami przewódcy. Za typowych przewódców pośrednich uważa autor M-me de Staël, Nitzsche'go. Brak równowagi i konsekwencyi, motywy atawistyczne oraz odmienne pochodzenie rasowe usiłuje Rossi odsłonić u obu osobistości wspomnianych. I pośredni i bezpośredni przewódcy są objawieniem zbiorowej duszy tłumu. Poruszając temat zapowiedziany w tytule książki, nie mógł Rossi uniknąć narzucającego się pytania: „kto robi historyę"? Czy robi ją tłum, czy przewódcy? Demokryt w starożytności, Vico w średnich wiekach, Nordau, Carlyle, Tarde w nowszych czasach wyrazili opinię, że ludzie wybitni, panujący nad tłumem, będącym narzędziem w ich ręku, robią historyę. Taine, Lamprecht i inni wygłosili zdania wręcz przeciwne. Rossi zajmuje stanowisko pośrednie. Geniuszów i bohaterów uważa on za objawicieli nieuświadomionych skłonności tłumu. I tłum i bohaterowie są niezbędnymi warunkami rozwoju społecznego. Tłum i przewódca nie są to dwie sobie różne, przeciwdziałające siły (bierna i czynna), lecz współdziałające ze sobą w tworzeniu i rozsiewaniu wzruszeń i myśli.

Na zarzut, że znane są wybuchy tłumów, odbywające się samorzutnie, bez udziału przewódców, odpowiada Rossi, że we wszystkich podobnych wypadkach byli przewódcy niepoznani, ukryci, bezimienni, wrażliwsi od reszty, którzy, przejęci silnie wzruszeniem tłumu, okrzykiem, przekleństwem, pociskiem z kamienia wyzwalali namiętności, deliria, chuci i popędy, przenikające masę. Przewódca ukryty lub jawny, mówiąc obrazowo, wobec tłumu gra taką rolę, jak lont w stosunku do kupy prochu, gdzie jedno ziarnko zapala się od drugiego błyskawicznie, ażeby wybuchnąć jednym zsumowanym płomieniem. Przewódca tworzy tylko związek idei, wzruszenia i suggestyonuje je, zatracając następnie pod wpływem tłumu swą osobowość; tłum współwzrusza się pod jego wpływem, potęguje to wzruszenie do stopni krańcowych, prostując współrzędnie i upodobniając nastrój przewódcy do swego nastroju. Istnieje zatem wzajemne oddziaływanie na siebie tłumu i przewódcy. Rola przeto pierwszego w dziejach nie jest bierną, lecz czynną. A jeżeli tak jest i jeżeli tłum zdradza skłonności do zbrodni, do delirium, do przemijającego obłędu, to jego rola czynna w historyi dobroczynną być nie może. Mosso mniema, że cywilizacya wznosi tłum na coraz wyższy poziom etyczny, obyczajowy i umysłowy, zapewne z tego powodu, że usuwa lub osłabia czynniki zwyrodniające takie, jak nędza, ciemnota, cierpienia. Rossi uważa tłum za geniusz, wyprzedzający nieświadomie współczesne wysiłki jednostkowe. Wyprzedził on wielu wynalazców, którzy są tylko pseudo wynalazcami. Darwin wygłosił zasadę biologiczną, znaną wcześniej ludowi w Kalabryi; Lister wynalazł sposób opatrywania ran, wcześniej używany przez Sylijczyków. Lebon mniema ze swej strony, że tłum przedstawia zbiór atomów nieświadomych, że jest niezdolny do oporu, bezwzględnie podległy suggestyi.

Taką jest treść książki uwolniona od drugorzędnych, mglistych twierdzeń Rossiego i innych, na podstawie których możnaby powątpiewać, czy t. z. uczeni badacze sami siebie rozumieją. Sadzenie się na wyszukiwanie szumnie nazywanych nowych „praw", które o niczem nie pouczają, jest i u Rossiego wspólną cechą z dzisiejszymi, szkolnymi uczonymi uniwersyteckimi, tymi uczonymi, którzy najczęściej zdradzają niedołęstwo umysłowe i scholastyczne gadulstwo, czekające na swego „Gargantua et Pantagruel", na swego Rabelais'go. Wszystko, co powyżej było wyłożonem, Rossi bardzo słabo oświetla faktami oraz dowodami; są to u niego „prawie" gołosłowne twierdzenia, wahające się zatem między możliwością a prawdopodobieństwem. Krytycyzm każe jednak w tem miejscu zrobić uwagę, że nietylko to jest słusznem, co jest dowiedzionem i stwierdzonem. Cała masa zjawisk czeka na odkrycie, wyjaśnienie i ujęcie dowodowe, co wcale nie osłabia ich prawdziwości. Pascal rozumnie zauważył, że nie byłoby filozoficznem odrzucać istnienie zjawisk dla tej jedynie przyczyny, że są trudne do zrozumienia. Stanowisko raczej opisowe, niż dowodowe Rossi'ego względem zjawisk omawianych może ujść za wytłomaczone, ubóstwo faktów jest jednak brakiem w pracy tego autora. Z treści książki poznajemy typowego przedstawiciela włoskiej szkoły antropologicznej, stworzonej przez Lombroso. Doktryną jej: zwyrodnienie fizyczne częściowe lub całkowite

dostarcza typów ludzkich, wahających się pomiędzy obłąkaniem, zbrodniczością i genialnością. Pominąwszy przykry fanatyzm filozoficzny właściwy tej doktrynie, niewystarczająco uzasadnionej, panowie Włosi i ich zwolennicy w swym zapale naukowym zbytnio się unoszą, tak, że wierząc im na słowo, wypadłoby jedynie jakiś stan półsennej bezwrażliwości uznać za normalny i zdrowy, przewroty zaś dziejowe, dokonane przy współudziale jednostkowego lub zbiorowego uniesienia, uważać za paroksyzmy szpitalne albo popisy zbrodnicze. Możnaby, opierając się na danych etnograficznych i klinicznych, utrzymywać, że trafiają się całe społeczeństwa chore i zwyrodniałe, ale do wszystkich teoryj, nawiązanych do tego przedmiotu, krytyka naukowa pewno wniesie dużo poprawek, przezorniej więc przyjmować je „cum grano sali".

Alexy Kurcyusz.



PRZEGLĄD TEATRALNY.

Bolesław Gorczyński: *Bagienko*, komedya w 3-ch aktach. — Frank Wedekind: *Demon ziemi*, tragedya w 4 aktach z prologiem.

Chwila obecna niebardzo sprzyja sztuce wogóle, a teatrowi i sprawom jego w szczególności. Tyle doniosłych zdarzeń rozgrywa się na widowni życia, jesteśmy uczestnikami i świadkami tylu tragedyi niesłychanych, że nie wszyscy mają ochotę patrzeć na cierpienia udane lub słuchać przy kinkietach teatralnych bezmyślnych wybuchów wesołości. Ten ostatni sport zresztą ma u nas zawsze amatorów. Niemniej jednak zauważyć należy, że teatr obecny, a zwłaszcza teatr warszawski, stoi wciąż jeszcze względem życia na przeciwległym niemal biegunie. To dwa światy, pomiędzy którymi leżą całe bezmiary jałowych pustyń i oceanów bezdennych.

Z jednej strony wrzenie gorączkowe, ścierają się prądy przeciwne, poruszają żywiej umysły, drżą serca, podobnie może, jak wówczas „z wiosny słońcem" (owej pamiętnej „wiosny wojny, wiosny urodzaju"), „jakiemś dziwnem przeczuciem, jak przed świata końcem, jakiemś oczekiwaniem tęsknem i radosnem". Dzień każdy rzuca pełną garścią zagadnienia olbrzymie, wznosząc dusze na szczyty, to znów je pogrążając w otchłaniach. A po drugiej stronie tymczasem rozstrojone katarynki teatralne wygrywają ochrypłym i przyduszonym głosem ciągle te same melodye. I powtarza się z odmianami małemi jedno i to samo widowisko: pogoń, przyciąganie i odpychanie się wzajemne mizernych samców i samiczek ludzkich, nie mogących — niekiedy mimo chęci najszczerszych — wydobyć się z zaklętego koła instynktów najniższych, odetchnąć pełną piersią Farysa czystem i wolnem powietrzem.

Rozumiem dobrze, że winy nie można tu szukać w teatrze samym i jego kierownikach, lecz przedewszystkiem w warunkach, w których teatr ten wegetuje przez długie lat dziesiątki. Nie oskarżam i autorów, bo i oni przecież są w dalszym ciągu przeważnie nieszczęsnemi i wyklętemi dziećmi „wieku bez miłości, wieku bez marzeń, złudzeń i zachwytu", bo i oni „wyrośli także wśród dziwnego świata, co się zapału i uniesień wstydzi, co każdem wzniosłem uczuciem pomiata, i wszędzie szuka śmieszności i szydzi". Twierdzę tylko, że właśnie wskutek tego wszystkiego niepodobna się dziwić tym z nas, którzy, wychodząc z przeciętnej sztuki współczesnej, mają ochotę wykrzyknąć na cały głos z Kirgizem: „Mnie tu nuda zabije... Ha! tam chyba ożyję, gdzie powietrza, gdzie stepów dowoli"...

Czy „Bagienko" p. Gorczyńskiego jest właśnie taką sztuką przeciętną? Jest może lepszą, bardziej zajmującą, lepiej zrobioną od wielu, lecz treść jej nie wybiega, niestety, po za sferę stosunków seksualnych, osłonionych nieco rzekomym idealizmem młodego studenta-artysty, szukającego słońca na bagniskach i wierzącego w tęsknotę do „lepszego" życia błędnych ogników ludzkich, wytwarzanych przez wyziewy błotne. W chwili rozstania z kochanką, powracającą do uwodziciela pierwszego, instynkty właściwe uzewnętrzniają się zresztą: „Jesteś taka piękna, taka ponętna, nie odchodź!" Idea „nowego życia", dla którego niedawno rzucał harde wyzwanie rodzinie i światu, występuje w świetle rzeczywistem.

Pozostaje tylko pytanie, dlaczego ten bohater, pragnący przez „legalny" związek z sobą podnieść „upadłą" dziewczynę (rzecz dziwna, jak jeszcze rozpowszechniony jest przesąd, pochlebny zwłaszcza dla mężczyzn „upadłych", że w ten sposób można kogokolwiek „podnosić"!), nie zapewnił się w chwili właściwej o jej miłości, nie zapytał jej o to poprostu, lecz załatwiał rzecz całą przez jej ojca, dla którego legalne małżeństwo „takiej" córki z zamożnym studentem było, naturalnie, zaszczytem i szczęściem bez granic. Mimo frazesów, rzucanych w twarz bogatemu stryjowi i jego dobrze wychowanemu przyjacielowi (obaj znali już zblizka piękną Wojniczkównę, z którą się żenić chce Stefan!), ten młody chłopak nosi w duszy zarodki przyszłego „porządnego człowieka". Nie mamy powodu wątpić, że nim po pewnym czasie zostanie. Małżeństwo z Heleną jest w jego oczach takim bohaterstwem, że poprostu na myśl mu nie przychodzi pytanie, czy i dla niej jest ono równie upragnionem. Jakżeż by inaczej być mogło! Ona — upadła dziewczyna, córka pijaka i oszusta, przechodząca z rąk do rąk modelka; on—Stefan Przystański, taki obiecujący artysta, taki wzniosły i szlachetny, no i tak dobrze urodzony młodzieniec! Jeśli te myśli i wrażenia zostały świadomie podsunięte przez autora, to bohater „Bagienka" byłby, zdaniem mojem, jedną z najgłębiej pojętych postaci dotychczasowego repertuaru p. Gorczyńskiego.

Z innych figur sztuki na wyróżnienie zasługuje jeszcze ojciec Heleny. Ten zjedzony przez nędzę, upadły i zmarnowany muzyk ma chwile prawdziwie wzruszające. „Nędza, panie Stefanie, to taki straszny kusiciel"—powtarza on parę razy. I rzeczywiście, nędza tłomaczy w tym człowieku niejedno, a skrucha szczera, z jaką woła: „Baty takiemu ojcu, co własnej córki wyżywić nie potrafi", łącznie zwłaszcza z gorzkim zawodem scen ostatnich, budzą dla niego coś nakształt szczerego współczucia. Obaj „panowie z towarzystwa", równie jak i dwaj studenci, to już tylko szablonowe dosyć sylwetki, chociaż przyznać trzeba, że koncepty i „kawały" dekadenta wraz z ćwiczeniami mięśniowemi gimnastyka - Litwina, zręcznie bardzo wplecione zostały do akcyi i pobudzają widzów wielokrotnie do wybuchów wesołości. Postaci Heleny nie pogłębił autor dostatecznie i przekonać nas nie potrafił, że ona rzeczywiście wrócić *musiała* do Wielobradzkiego. Być może, iż zawinił tu trochę i ołówek reżyserski, który podobno w akcie ostatnim pozwolił sobie na cały szereg niezupełnie usprawiedliwionych skróceń. Dodać w każdym razie należy, że każda z postaci „Bagienka" ma właściwą sobie fizyonomię duchową i mówi własnym, niekiedy charakterystycznym językiem, a budowa sceniczna utworu nic prawie nie pozostawia do życzenia. „Bagienko" powstało współcześnie z odznaczoną na konkursie „Nocą lipcową", a oba te utwory stanowią dowód niezbity, że ich autor ma nerw i talent dramatyczny. Życzyć mu tylko należy dalszego rozwoju na tej drodze i możności wypłynięcia na widnokręgi szersze, w atmosferze, sprzyjającej bardziej rozkwitowi prawdziwej sztuki.

Utwór Gorczyńskiego odegrano na scenie warszawskiej wybornie przez dobrze zespoloną drużynę, do której, obok p. Przybyłko - Potockiej, weszli pp.: Leszczyński, Wolski, Roland (grał z zapałem i talentem postać główną), Szobert, Wostrowski, Wojdałowicz (doskonały Wojniczek) i Tatarkiewicz.

O „Duchu", czy — jak chce tłomacz — „Demonie ziemi" rozpisywać się już nie będziemy. Wedekindowi i jego dziełom poświęcono w *Prawdzie* niedawno osobny artykuł, dotykając w nim mimochodem i świeżo wystawionej „tragedyi". Czy jednak jest to naprawdę *tragedya*, jak ten najwyższy rodzaj sztuki pojmowano dotąd ogólnie? Zbyt dużą wagę przywykliśmy przywiązywać do tej nazwy, by ją stosować bez wahania do utworów, graniczących chwilami wyraźnie ze zwykłym melodramatem poczciwych dawnych czasów. Lecz jeśli to melodramat, to w każdym razie pomyślany oryginalnie i nawet niekiedy zaglądający aż do głębin duszy.

Mniejsza o prolog niezwykły, z pogromcą zwierząt i bohaterką w postaci—przeginającego się lubieżnie węża. Mniejsza nawet o bajkę samą, tę ordynarną, zewnętrzną bajkę, dającą się opowiedzieć i streścić. Lulu - Ewa, kusicielka nieprzeparta i łakomyślne zwierzątko, potęga niezniszczalna i baletnica czy modelka, brana bezpośrednio, jak ją widzimy w tej nowoczesnej tragikomedyi, byłaby poprostu wstrętnym potworem moralnym, o jakie w dziełach sztuki nie chodzi. Przed zabójstwem trzeciego z rzędu męża (na śmierć obu poprzednich patrzyła z uśmiechem) gromadzi ona w jednym pokoju jakieś pół tuzina wielbicieli i kochanków, między którymi nie brak nawet kilkunastoletniego dziecka i podnieconej chorobliwie hrabianki.

Rzecz prosta jednak, że mamy tu do czynienia z przenośnią, alegoryą, symbolem — o nazwę mniejsza. Symbolem kobiety wogóle? Bynajmniej. Tak źle o Wedekindzie nie trzymamy. Żądzy życia, śmiechu, radości? Nie zdaje mi się, aby idealizacya taka odpowiadała ściśle rzeczywistości. Czy nie chodzi tu raczej wogóle o ów instynkt potężny, oplatający kobietę i mężczyznę potwornemi ramionami polipa i stanowiący źródło odwieczne szczytnych bohaterstw i ohydnych zbrodni? To jedno, zdaniem mojem, wyjaśnia zagadkową nieco treść utworu; za tem przemawia i wyborna charakterystyka niektórych momentów takiej właśnie miłości - instynktu, jak chociażby to zaślepienie bezgraniczne względem celu uczuć, podnoszące do ideału—ohydę.

„Demon ziemi", wyreżyserowany starannie i umiejętnie przez p. Śliwickiego, wystawiony został, jak na stosunki nasze, wspaniale. Stronę zewnętrzną psuje tylko w sposób niemożliwy portret bohaterki, istne straszydło, na które patrzymy przez wszystkie cztery akty, słysząc co chwila, że ma to być właśnie to samo wcielenie powabu i wdzięku, doprowadzające ludzi do szaleństwa.

Rolę główną gra w sztuce Wedekinda p. Marcello i przechodzi w niej poprostu sama siebie. Takiej prawdy, takiego realizmu w każdym szczególe, takiej szczerości i siły, przy zachowaniu miary niezbędnej, nie pamiętamy dawno u tej utalentowanej artystki. Dobrymi jej partnerami byli pp.: Leszczyński, Nowicki, Frenkiel, Śliwicki,

Wostrowski, — wszyscy słowem, cały afisz przepisaćby należało, nie zapominając i o p. Szobercie, grzmiącym, jak burza, w prologu.

Wł. Bukowiński.

SPRAWY EKONOMICZNE

Polityka handlowa

a klasy rządzące w Niemczech

Upatrywanie w Anglii typu przyszłego rozwoju ekonomicznego państw kulturalnych było do ostatnich lat prawie modą w świecie umiejętności gospodarczych. Jak wierzono, że powtórzy się tutaj cały bieg zjawisk, złączonych z powstawaniem przemysłu i handlu kapitalistycznego, wzrastającym z roku na rok w krajowej produkcyi deficytem środków żywności, tak też uchodziło za pewnik niemal, że wszystkie zjawiska wtórne, towarzyszące rozwojowi gospodarki kapitalistycznej w mechanicznem prawie odbiciu ukażą się i na kontynencie, wchodzącym po dziesiątkach lub więcej lat w opuszczone przez Anglię fazy.

W tych wróżbach i obliczeniach zapomniano o fakcie, że narodziny wielkiego kapitału w Anglii, jako siły kształtującej stosunki wytwórcze, odbyły się przy międzynarodowym układzie warunków, który w dziejach przemysłu zdarzył się raz jeden i w naturalnym biegu rzeczy powtórzyć się nie może więcej. Anglia była pierwszym krajem, w którym kapitał owładnął produkcyą, i mogła czas pewien obsyłać rynki, nie znajdując na nich współzawodnika. Wyższa technika pobiła najpierw rodzime rzemiosło, a następnie kapitał począł przerzucać za morze masy wyrobów, dusząc w samem zadzierzgnięciu międzynarodowej wymiany kapitalistycznej tradycyjne formy wytwarzania i drobnych wytwórców.

Przemysł angielski u swego zarania ani nie potrzebował bronić wrót własnych przed zuchwałymi napastnikami, ani też odpędzać tych ostatnich od stołu suto zastawionego. Przeciwnie — sam wkraczał w cudze ziemie, sam szukał zaczepki, a zgóry będąc pewnym zwycięztwa na całej linii, dla tego tylko, żeby znaleźć się w szrankach, wytężył ogromne siły. Wolny handel stał się bardzo szybko jego hasłem — wcale niełatwem do urzeczywistnienia.

Społeczeństwo angielskie już w XVII w. wprawdzie zrzuciło z siebie okowy feodalizmu, lecz wielka własność ziemska nie utraciła wskutek tego swego znaczenia politycznego, tylko wyzyskiwała je odtąd w formie nowoczesnej, przystosowanej do poboru korzyści nie danin. Wysokie cła na zboże i wszystkie prawie surowe płody strzegły u granic wyspy interesów szlachty, zapewniając jej wysoką rentę gruntową przez utrudnienie dowozu, który już z końcem XVIII wieku wywóz przewyższać zaczął. Przewaga, jaką przemysł angielski już w pierwszem wystąpieniu uzyskał, czyniła dlań ochronę państwową niepotrzebną. Cła, użyczone szlachcie, krępowały go w dalszym rozwoju i w dążeniach zaborczych. Widział w nich nietylko przeszkodę tańszego zakupu siły roboczej i surowców, ale i przyczynę, tamującą pożądany rozrost popytu na angielskie fabrykaty zagranicą— podczas gdy wytwarzanie na coraz większą skalę stało się dlań przy silnem nagromadzeniu wprost warunkiem bytu. Im mniej ziemianin kontynentalny sprzedawał w Anglii i zarabiał, niedopuszczony do jej targów przemożnym interesem szlachty tem mniej kupował następnie, z wyrobów nadsyłanych przez fabryki angielskie.

Wolny dostęp obcego zboża do Anglii stał się zatem niezbędnym warunkiem rozwoju dla inwestowanego w przemyśle kapitału angielskiego, ale równocześnie zdawał się zapewniać spore korzyści i reszcie krajów. Wzbogacając się wywozem, mogły one następnie zapewnić sobie udział w wspaniałym rozwoju techniki angielskiej i znaleźć tym sposobem w wolnym handlu dobrobyt, szczęście i błogość wieczystego pokoju, płynącego z harmonii interesów państw, wymieniających swobodnie nadwyżkę swych towarów.

Hasła wolno-handlowe, w imię których fabrykanci angielscy rozniecili agitacyę, prowadzoną z niesłychaną namiętnością i wytrwaniem, mającą swych apostołów, uczniów i nabożne rzesze ofiarne, znalazły na kontynencie europejskim najsilniejszy oddźwięk wśród agraryuszów pruskich. W kraju o ludności słabo rozwiniętej, bez przemysłu, produkcya rolna dawała ogromną nadwyżkę, nieznajdującą zbytu na miejscu, kraje zaś ościenne dowozu środków żywności albo nie potrzebowały, mając swego zboża i bydła pod dostatkiem lub też, jak Francya po wojnach napoleońskich, broniły się przed nim wałem celnym. Możność sprzedawania za granicą całej nadwyżki produkcyi rocznej, która szeroko zalewała ciasne jeszcze granice popytu krajowego—wolny handel wyzwolił w duszy nadłabskich junkrów cały zasób idealizmu, przyoblekając nadzieję zwiększonych zysków szatą miłości ojczyzny, ba, nawet ludzkości. Wtórował im chór literatów i uczonych, dla których Anglia była ciągle jeszcze jedynie uznanem źródłem ekonomicznej wiedzy i prawdy— handlarzy, kupców i urzędników, którym towar angielski dawał możność taniego zaspokojenia potrzeb, nie odbierając możności pracy.

Z krajów południowo-niemieckich poczęły się odzywać głosy, ostrzegające przed przyjęciem prawd, wyrosłych na obcym gruncie, odpowiadających cudzym potrzebom, i domagające się ochrony przemysłu rodzimego. Świeżo budzący się tam do życia wielki przemysł fabryczny znalazł zaraz w piśmiennictwie świetnych obrońców, którzy w stworzonych ad hoc systematach dowodzili konieczności połączenia w obrębie jednych granic państwowych wielkich przedsiebiorstw fabrycznych i pól rolnych, stworzenia obok siebie rozlicznych sposobności pracy, dających możność najkorzystniejszego wyzyskania sił, drzemiących w ludziach i w przyrodzie. Międzynarodowemu, geograficznemu podziałowi pracy, którego dobroczynne skutki wysławiała w ponętnych przyrzeczeniach klasyczna ekonomia i jej praktyczni wyznawcy, przeciwstawiono społeczny podział pracy, świadomie rozbudzony polityką handlową. Cła ochronne zaś przedstawiane były, jako pierwszy warunek harmonijnego rozwoju, zagrożonego w samym zarodku przez najazd wyrobów angielskich, biegnących szlakiem wybitym kłamliwemi hasłami.

Rzecznicy młodego przemysłu niemieckiego, na których czele stanął Fryderyk List, autor słynnego dzieła „System narodowy ekonomii politycznej (Das nationale System der politischen Ekonomie), w przyjęciu wolnego handlu upatrując dobrowolne oddanie się krajów niemieckich w wieczystą niewolę kapitału angielskiego, nawoływali do skupienia się dokoła wspólnego sztandaru pracy narodowej i wydania walki celnej uroszczeniom Angli. Równocześnie zaś z urodzajnych równin nadmorskich Prince-Smith odpowiadał im zapożyczonymi u Cobdena i Brighta argumentami, zapowiadając rychły brzask wolności, dostatku i ogólnego braterstwa, byle tylko wolny handel mógł zapoczątkować tę nową erę dziejów ludzkości.

Wolny handel zwyciężył na razie i tutaj, lecz zwycięztwo jego miało treść polityczną i społecznie wręcz odmienną, niż w Anglii. Rosnące zróżniczkowanie wytwórczości, rozwój przemysłu i handlu parły drobne państewka niemieckie do zbliżenia się i zjednoczenia, którego pierwszym wyrazem był związek celny, usuwający z pośród siebie tamy handlowe, łączący politycznie jeszcze rozdarte terytoryum w jednolitą dla wymiany przestrzeń. Tylko Austrya, gdzie dynastya panująca marzyła o wytworzeniu z rozmaitych ludów, przypadkiem złączonych w jej ręku, jednolitego, silnego państwa uporczywie obstawała przy cłach tak wysokich, że równały się prawie zupełnemu odcięciu wszelkiego dowozu obcych wyrobów w granice tego państwa, mającego przez sztucznie wypielęgnowany przemysł dostarczyć Habsburgom środków do prowadzenia polityki wielko-mocarstwowej. I skierowanie związku celnego ku wolnemu handlowi, na który się Austrya podówczas jeszcze zgodzić nie mogła i nie chciała, dawało Prusom możność odosobnienia tego państwa od reszty krajów niemieckich i osiągnięcia jego kosztem naczelnego stanowiska w Niemczech—zdawna głównej wytycznej nader zręcznie i szczęśliwie prowadzonej polityki. Interes klasowy junkrów zetknął się z pragnieniem wielkości Hohenzollernów, i niemiecki związek celny popłynął, rozpiąwszy żagle, na wolno-handlowe przestworza, na które kusił go z przeciwległego brzegu angielski kapitał i angielska ekonomia polityczna.

Niemieckie koła przemysłowo-handlowe parciu junkrów oraz polityce rządu pruskiego nie mogły przeciwstawić silnego oporu, bo część żądań wolnohandlowych, jak np. zjednoczenie Niemiec, reforma ustawy przemysłowej, zniżenie taryf kolejowych leżała i w ich interesie; a kapitał hadlowy, widząc we wzmożonej wymianie zapowiedź obfitych zysków, nie dawał się pozyskać dla wspólnej akcyi. W r. 1876 zniesiono ostatecznie cła na żelazo, przy których uporczywie obstawał długie lata silny już podówczas odłam przemysłowców. Jeden z przywódców wolno-handlowych agraryuszów domagał się tej reformy w imieniu ogółu konsumentów, dla których obok taniego chleba i mięsa, tanie żelazo, tanie narzędzia i maszyny rolnicze są koniecznością życiową.

Jednakowoż partya agraryuszów przestała wkrótce uważać za swe zadanie „obronę interesów konsumentów“ przed chciwością kapitału. Przemysł niemiecki, oparty na naturalnem bogactwie kraju i dobrej szkółce ludowej, czynił zdumiewające postępy, choć polityka celna związku niemieckiego w pierwszych latach cesarstwa pomocy mu nie dawała. Ludność od roli cisnęła się do miasta, gdzie znajdowała lepszą zapłatę i lepsze życie, a plon krajowy coraz skąpiej zaspakajał szybko wzrastające potrzeby mieszkańców osad fabrycznych i wspaniałych stolic. Koleje żelazne, które taniością swych taryf ułatwiać miały wywóz zboża niemieckiego, poczęły wwozić do kraju tanie zboże rosyjskie. Ulepszenie żeglugi parowej wywołało ogromnie groźne współzawodnictwo zboża amerykańskiego, produkowanego na obszarach, gdzie warunki naturalne i społeczne istnienie nieobjętej jeszcze własnością prywatną ziemi, składały się na nizką bardzo jego cenę. Z początkiem lat 70-tych widocznem już było, że zboże amerykańskie opanuje zupełnie rynek angielski, a tani dowóz i w Niemczech objawił się zniżką cen, która zdawała się wstrząsać podwalinami gospodarczego stanowiska ziemiaństwa.

Dok. nast.

Dr. Helena Landau.

Ruchy rolne.

Za przykładem robotników fabrycznych w niektórych okolicach naszego kraju zastrajkowali pracujący na roli. „Ruchy rolne—czytamy w *Gońcu* porannym z 19 marca — zaczęły się od folwarków p. Jana Kleniewskiego (Kluczkowice i innych 15), a ściślej mówiąc od cukrowni w Zagłobowie. Parobcy postawili żądania: podwyższenia płacy rocznej o 5 rubli i korzec ordynaryi, założenia ochronki, zorganizowania pomocy lekarskiej, utrzymywania 2 krów dla rodziny, pozwalania zbierania chwastów w zagajnikach niezbyt młodych. Żądania takie stawiano mniej więcej wszędzie. Strajk zakończył się pewnemi ustępstwami ze strony p. Kl. Podobne żądania postawiono u pp.: Władysława Kleniewskiego w Opolu, Sołtana w Polanówce, Wesslów w Karczmiskach, Garbowie, Miłocinie, u Broniewskiego w Kęble, Malewskiego w Drzewcy (gdzie właściciel dobrowolnie porobił służbie pewne ustępstwa i ulgi).

Wszystkie te strajki odbyły się spokojnie, bez wybryków. W dalszym ciągu podobne ruchy przejawiły się lub są zapowiedziane w majątkach: Wojciechowie, Palikijach, Lubkach, Szemerkach, Chmielniku, Mosznie, Tomaszewicach, Czesławicach, Nałęczowie i okolicy Antopolu.

Ruch zwolna rozchodzi się na inne gubernie, prócz lubelskiej i siedleckiej pojawił się już w piotrkowskiej, w warszawskiej, w okolicach Koła.

Rusk. Wied. donoszą, że w pow. dźwińskim włościanie, doprowadzeni przez bezrobocie do nędzy i głodu, zrabowali i zrujnowali kilka majątków. Wszystko co było do zabrania, zostało ze dworów pozabierane, pozostałe rzeczy zniszczono; z niektórych majątków zabrano bydło.

Obywatele którzy jeszcze ocaleli, uciekają, zabierając rzeczy co cenniejsze do miasteczka pod ochronę przybyłego z Dźwińska (Dynaburga) wojska. Policya miejscowa zachowuje się bezczynnie. Zaburzenia miały miejsce w d. 18 i 19 lutego st. st. Mieszkańcy miasteczka w obawie napadu spędzają noce na czuwaniu.

Warsz. Dniew. zaś podaje następujące wiadomości z Zikielu w gub. Kurladzkiej.

„Wśród włościan gub. witebskiej rozeszła się pogłoska, że lasy oddane zostaną włościanom. Pod wpływem tych wiadomości włościanie zaczeli pustoszyć lasy hr. Platera w Kresławku. Wojska niewiele pomogły; włościanie zaczęli nawet nachodzić lasy kurlandzkie w Zikelu i Kazaliczku. Wtedy obywatele miejscowi połączyli się dla obrony swej własności: w dniu 4 marca stoczono formalną bitwę na łodzie rzeki Dźwiny. Obywatele wraz z leśniczymi i strażnikami zdołali powstrzymać najście i zawrócić włościan; aresztowano 6 osób. Z obu stron strzelano.

Kijewlanin, jak pisze *Warsz. Dn.*, donosi, że rozruchy włościańskie zaczęły się w pow. dmitrowskim w gub. kurskiej. Stamtąd rozprzestrzeniły się na sąsiednie powiaty: siewski, gub. orłowskiej, i głuchowski, gub. czernichowskiej. Rozruchy mają ten sam charakter, jak i poprzednie w gub. połtawskiej. Utworzyło się kilka znacznych band, które rabują i palą dwory. Rozruchy zaczęły się w dniu 4 marca. W pow. dmitrowskim spalono Derjużyńską cukrownię, należącą do W. Ks. Michała Aleksandrowicza. Taki sam los spotkał cukrownię georgiewską, należącą do bar. Mejendorfa. W pow. głuchowskim ograbiono 20 majątków. Między innemi największe straty ponieśli sukcesorowie Tereszczenki; należąca do nich cukrownia Michajłowska została spalona. Grabieżcy spalili również tartak, należący do tychże właścicieli. W cukrowni spłonęło 80,000 pudów cukru. Włościanie przyjeżdżają z wozami, na które ładują zagrabione nieruchomości i produkty. Rozgromowi podległy fabryki cukru, budowy maszyn i wódek w majątku Swiesie. Dla ukrócenia rozruchów wysłano wojska z Kijowa, z Czernichowa i z Charkowa. Oficyaliści ziemscy i parobcy w panicznym przestrachu uciekają z rodzinami do miasta. Straty, wyrządzone przez rozgrom i pożary, są olbrzymie. Przyczyny rozruchów dotychczas niewyjaśnione.

Życie publiczne w Rosyi.

Czytamy w *Birż. Wied.* „Nieszczęśliwa wojna, która dobrowadziła do nowej porażki wojska naszego w Mandżuryi, powszechne strajki robotnicze, strajk w szkołach wyższych, rzeź w Baku?—pogrom uczniowski w Kursku, napady na inteligencyę i studentów w Tambowie, Kazaniu i innych miastach, szereg morderstw i zamachów politycznych, wreszcie rozruchy agrarne w gub. orłowskiej, saratowskiej, kurskiej, a podobno i w innych—oto rozwijający się bez przerwy szereg groźnych objawów zaburzenia, jakie ogarnęło obecnie Rosyę". Co robić? pyta ta gazeta i na to pytanie taką daje sobie odpowiedź:

„Tylko uogólnienie wszystkich głosów—głos ziemi, głos kraju całego może rozstrzygnąć to pytanie w sposób moralnie zobowiązujący wszystkich. Tylko do tego głosu, wyrażającego wspólne postanowienie rządu i swobodnie obranych przedstawicieli ludności, zastosują się ci, którzy osobiście są innego zdania"...

Sprawa wojny—mówią dalej *Birż. Wied.*—złączoną jest nierozerwalnie ze sprawami wewnętrznemi. Niepodobna przecież twierdzić poważnie, że olbrzymia większość uczącej się młodzieży i masa profesorów — zastrajkowali dla fantazyi lub z namowy setki lub nawet tysiąca źle myślących ludzi".

Po dość długich i burzliwych dyskusyach prezes kijowskiego Tow. rolniczego przesłał ministrowi rolnictwa i dóbr państwa następujący telegram:

„Kijowskie towarzystwo rolnicze, przejęte ważnością obecnej chwili dziejowej, na posiedzeniu swojem d. 14 lutego (st. st.) 1905 r. uważało za obowiązek wypowiedzieć głębokie przeświadczenie, iż to wyjątkowe położenie, w którem znajduje się od lat 40 przeszło kraj południowo-zachodni, odbija się w sposób dotkliwy na jego życiu gospodarczem. Zupełne zabezpieczenie praw jednostki i wolność działania w granicach prawnych dla wszystkich bez wyjątku obywateli, wymagają, jako warunku niezbędnego, zrównania we wszystkich prawach obywatelskich całej ludności kraju bez względu na różnice narodowościowe i inne. Zgromadzenie, solidaryzując się z opinią całego ogółu rosyjskiego, wypowiada głębokie przekonanie, iż przedstawiciele kraju południowo-zachodniego, narówni z innymi, będą brali udział w spodziewanej pracy twórczej w zakresie urządzenia państwowego naszej ojczyzny".

Gaz. *Kijewskija Otkliki* donosi:

„Na posiedzeniu moskiewskiego Towarzystwa pedagogicznego dnia 24 lutego (st. st.) uchwalono: 1) poczynić zabiegi u rady miejskiej o zorganizowanie milicyi miejskiej dla obrony młodzieży szkolnej; 2) skomunikować się z innemi towarzystwami naukowemi w celu wspólnego obmyślenia sposobów zapobieżenia takim wypadkom, jak niedawne zajścia w Kursku".

W sprawie reformy w życiu uniwersytetów ks. Sergjusz Trubeckoj w gaz. *Ruskija Wiedomosti* wypowiada następujące poglądy:

„Za rzecz pierwszą i niezbędną należy uważać odbudowanie obalonej powagi, przywrócenie rady w jej właściwem znaczeniu, przywrócenie autonomii akademickiej. Samodzielność uniwersytetu pod hasłem: „uniwersytet dla uniwersytetu"—oto, czego nam potrzeba, co winno stanowić podstawę urządzeń życia akademickiego, jeśli pragniemy, aby wychowańcy uczelni wyższej rozumieli rzeczywiste jej zadania, i aby ciało profesorskie, świadome swych obowiązków w stosunku do samoistnych i niezależnych celów uczelni, posiadało w przyszłości możność i prawo swobodnego urzeczywistnienia tych celów i było w możności wpoić wiarę w nie społeczeństwu i kształcącej się młodzieży.

Jeśli ustawa uniwersytecka nie może być,—mimo starannego opracowania, jakiemu została poddaną za min. Wannowskiego i Zengera,—wprowadzoną w życie, to przecież pozostaje możliwem zastosowanie natychmiastowe przepisów tymczasowych, mocą których ciała profesorskie otrzymałyby „pełnomocnictwa niezbędne". Zarząd uniwersytetów winien być polecony bezwłocznie, na przeciąg jednego roku, aż do czasu wprowadzenia nowej ustawy, radom uniwersyteckim, które winny w tym celu obrać zarządy i rektorów. Jedynie tylko taki zarząd, który posiada zaufanie rady i działa z nią ręka w rękę, nie zaś niezależnie od niej i niezgodnie z nią, może w obecnej, ciężkiej chwili podołać zadaniu. Przytem inspekcya uniwersytecka albo winna być zniesioną, jako niepotrzebna, albo też, co najmniej, winna podlegać zarządowi; po za tem, zarządy i rady winny posiadać zupełną samodzielność zarówno w sprawach, dotyczących: otwarcia uczelni, zawieszenia wykładów, stosowania środków karnych itd.

Takie tylko stanowcze zarządzenia zdołają przyspieszyć rozpoczęcie się zajęć i zabezpieczyć ich bieg prawidłowy w przyszłości. Zaufanie do uniwersytetu—oto, czego nam potrzeba; w przeciwnym razie oczekujmy upadku życia akademickiego"

Ruskij Listok podaje w korespondencyi z Siewska:

„Śród ludności miasta panuje strach paniczny. Po całym powiecie rozbijają bandy chłopskie. Właściciele ziemscy uciekają z rodzinami do miasta, lecz i tu bezpieczeństwo nie jest większe: miasto jest otoczone bandą opryszków. Żądania włościan sprowadzają się do jednego punktu—oddania im wszystkich ziem dworskich. Zjawiając się we dworze, oświadczają oni: „Przyszliśmy odebrać napowrót swoją ziemię. Nie bójcie się, nikomu nie zrobimy nic złego".

„Jeżeli właściciel nie okazuje oporu—włościanie wsadzają go na wóz i odwożą do miasta, jeśli zaś właściciel się chowa lub usiłuje stawiać opór—dwór ulega splądrowaniu. Odbywają się też napady na cukrownie i gorzelnie. Cały powiat w panicznym strachu oczekuje powrotu czasów—Pugaczewa".

W gazecie *Nowosti* czytamy:

„Wypadki rozwijają się z konsekwencyą nieubłaganą. Zaledwie zdołała się wypowiedzieć w sprawach chwili obecnej inteligencya, gdy pokrewne oświadczenia poczynili robotnicy. Nie zdołał ucichnąć pomruk ruchu robotniczego, gdy oto pojawiają się oznaki ruchu agrarnego.

W Gruzyi napaści chłopów na dwory wiejskie były bardzo rozpowszechnione. Pogrom folwarków rozpoczął się w trzech pow. gub. orłowskiej, kurskiej i witebskiej. Włościanie jednego z powiatów gubernii woronezkiej przesłali do Petersburga prośbę o nowy podział gruntów; ogromny tłum włościan bessarabskich zebrał się przed domem gubernatora, by zaświadczyć o klęsce głodowej oraz prosić o żywność i organizacyę pracy. Wielu obywateli ziemskich z różnych końców Rosyi stwierdza fakt, że wieś bynajmniej nie jest spokojną.

Wojna odciągnęła setki tysięcy siły roboczej, zarobki pod wpływem wojny się zmniejszyły, odpływ przyrostu ludności do Syberyi wstrzymany. Setki więzów łączą wieś z miastem; dlatego też nie mogła ona pozostać bier-

ną zupełnie wobec fermentu w środowiskach miejskich, w klasie roboczej.

Przepowiadać rozwoju rozruchów chłopskich na wielką skalę nie śmiemy; wszystko się może zakończyć na wybuchach miejscowych. Tem nie mniej jednak źle jest brać się do gaszenia pożaru wtedy dopiero, gdy już cały gmach ogień ogarnął.

Bunt małorosyjski niczego nas nie nauczył. Ograniczyliśmy się do presyi i kar pieniężnych. Stańmyż się choć teraz bardziej przewidującymi. Wyniki półwiekowej naszej apatyi i śpiączki politycznej nazbyt są już ciężkie.

Na całym świecie chyba tylko dzicy żyją w takich warunkach, w jakich postawiony jest chłop rosyjski. Wszystko tak się złożyło, by z włościanina uczynić proletaryusza 100 milionów ludności, nie posiadającej w ilości dostatecznej nawet tak prymitywnego pokarmu, jak chleb—czy jest coś bardziej wymownego nad ten fakt niezaprzeczony. W związku z nim, wszystkie inne strony bytu włościańskiego same się zarysują. Tu wchodzą: stara, duszna i brudna izdebka, odzież dziurawa, inwentarz liche, niewola lichwiarska, poniżenie godności osobistej i, oczywiście, coraz częstsze choroby i degeneracya fizyczna. Wstyd żyć jest przy myśli, że ta ojczyzna — to kraj nędzy i cierpień bez końca dla 80 proc. ludności.

Rozsądek nakazuje przystąpić do reform natychmiast.

Kancelarye nasze przepełnione są projektami, któreby mogły postawić wieś na nogi, lecz nikt nigdy nie posiadał dość chęci i stanowczości, by kwestyę włościańską ruszyć wreszcie z miejsca.

Precz z polityką łataniny i kompromisów. Drobne jałmużny w rodzaju zmniejszenia spłat wykupnych, mizerna działalność banku włościańskiego i t. p. — nie warte są nawet tego papieru, jaki na te środki wydatkowano.

Rosya jest krajem włościańskim. Interesy chłopskie w niej przeważają. Dla ich unormowania nie można się cofać przed największemi reformami".

Z powodu pogłosek o bezrobociu na kolei Syberyjskiej też same *Nowosti* piszą:

„Nie będzie nic dziwnego, jeżeli ujawniający się wszędzie ruch robotniczy przejdzie na tamtą stronę Uralu. Ale proste bezrobocie, tj. ta forma protestu, jaka obecnie praktykuje się na kolejach rosyjskich, jeszcze nie jest zjawiskiem nadzwyczajnem. O wiele niebezpieczniejsze i groźniejsze mogą być następstwa, jeżeli administracya kolejowa za pomocą rozumnych środków i życzliwego traktowania potrzeb robotników nie zażegna niezadowolenia możliwie najszybciej.

Masy robotnicze na Syberyi składają się głównie z dwóch żywiołów: z włościańskiej ludności rdzennej i tak zwanych „osiedleńców". Ci ostatni — są to ludzie, którzy nie mają nic do stracenia. Wysłani na mocy wyroków sądowych ze stron rodzinnych, zaznawszy więzienia i ciężkich robót, wiecznie podrażnieni, mają powód zawsze zachowywać się wrogo względem społeczeństwa, które na zawsze ich wygnało. Ci ludzie mogą się stać groźną i niebezpieczną siłą w bezrobociu na kolei. Syberya—to nie Rosya. Linii ciągnącej się na przestrzeni dziesięciu tysięcy wiorst, niepodobna obstawić kozakami. Wcale nie trzeba być prorokiem, ażeby przepowiedzieć te straszne dramaty, które mogą się rozegrać na kolei, jeżeli tylko nie będą zastosowane najśpieszniej środki wyjaśnienia potrzeb robotników i porozumienia się z nimi. Nie można ufać uspokojeniom, że „wszystko pomyślnie". Należy pamiętać, że kolej Syberyjska, nie posiadająca żadnej ochrony, może być znacznie uszkodzona, że stacye zbudowane są z drzewa, że wystraszeni urzędnicy, dla ocalenia życia i mienia rozbiegną się na wszystkie strony i nie łatwo będzie ich odszukać.

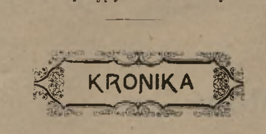
Wreszcie nie należy zapominać o tem, że robotników na kolei Syberyjskiej liczą co najmniej 40,000 i że między nimi jest wielu takich, na których powściągliwość nie można liczyć".

Korespondent paryski *Birż. Wied.* w ostatnim numerze tego pisma pisze, co następuje:

„Oddawna już zostało wyjaśnione, że medyczne i sanitarne oddziały przy naszem wojsku są zorganizowane bardzo wadliwie. Nowe potwierdzenie tego przynosi ostatni zeszyt pisma „Médecine française". Korespondent tego specyalnego pisma opisuje na podstawie wrażeń osobistych, w jaki sposób odbywa się powrót do ojczyzny rannych i chorych żołnierzy. Opis jest nacechowany gorącem oburzeniem.

Gdy nastąpiło ogłoszenie wojny — pisze lekarz francuski—w Petersburgu nie zapomniano o zabezpieczeniu powrotu do ojczyzny rannych i chorych. Utworzono 29 pociągów sanitarnych—istnych szpitali ruchomych, urządzonych wygodnie, nawet z pewnym przepychem. Niestety, w każdym z tych pociągów było nie więcej nad 150—250 łóżek, gdy tymczasem przewozić wypadało nieraz ilości chorych dziesięćkroć większe. Przytem część tylko pociągów można było użyć do właściwego celu. Tak czy inaczej, lecz większość rannych i chorych na tyfus lub biegunkę zmuszona była do przebycia ciężkiej podróży wielotygodniowej nie w tych pięknych i odpowiednio urządzonych pociągach, lecz w przepełnionych po brzegi wagonach towarowych. Wagony te były opalane w sposób najzupełniej pierwotny, za pomocą pieców, ustawionych pośród łóżek z chorymi. O rzeczywistej pieczy nad chorymi naturalnie nie mogło być mowy. Doktór Kozłowski, czuwający nad jednym z tych naprędce sklejonych pociągów sanitarnych, opowiedział autorowi tych słów, że nie miał on ani bielizny, ani odzienia, ani lekarstw niezbędnych dla chorych. Nie koniec jednak na tem. Chorzy stale cierpieli głód. W pociągach—niby sanitarnych—nie było najniezbędniejszych przyrządów do gotowania strawy, i nieco jedzenia można było dostać tylko na rzadko rozrzuconych stacyach kolei syberyjskiej. Po całych dniach nieraz chorzy musieli poprzestać na chlebie i herbacie, często jednak nawet chleba na stacyach brakło. I chorzy umierali dziesiątkami w oczach lekarzów i sióstr, patrzących bezradnie na ich cierpienia".

Ruś pisze: Obecnie, jak słyszeliśmy, istnieje zamiar ograniczenia czynności „petersburskiego centralnego komitetu cenzury, zagranicznej", jako też ryskiego i odeskiego komitetów tejże cenzury, wreszcie zwolnienia niektórych cenzorów w Moskwie, Kijowie, Rewlu i Wilnie od włożonych na nich obowiązków przeglądania przywożonych z zagranicy książek cudzoziemskich. Rozporządzenie to, jak utrzymują: ma być w związku z zamiarem zupełnego zniesienia cenzury książek i czasopism zagranicznych w obcych językach. Ma być dozwolonym dowóz wszystkich wydawnictw w obcych językach—bez cenzury.



Wiadomości społeczne. Wkrótce ma być utworzona osobna komisya w ministeryum skarbu, dla rozpatrzenia istniejących ustaw i przepisów o prawach i obowiązkach inspekcyi fabrycznej.

— Moskiewskie Tow. rolnicze zostało zamknięte do czasu nowego rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych.

— Na pytanie komitetu ministrów, wydział historyczno-filologiczny w Kijowie jednogłośnie oświadczył się za zniesieniem wszelkich ograniczeń, krępujących piśmiennictwo małoruskie.

— Według doniesienia *Berl. Tag.* komisya robotnicza Szydłowskiego została rozwiązana na żądanie generał-gubernatora petersburskiego, Trepowa.

— Czytamy w *Gazecie Sądowej*, że wprowadzenie w życie nowego kodeksu kryminalnego ma nastąpić w połowie kwietnia.

— *Warsz. Dn.* zwraca uwagę na Chińczyków, handlujących surowym jedwabiem, którzy się pojawili w Warszawie, Kaliszu, Sosnowcu. Pasporty ich są w porządku. „Podczas wojny jednakże — mówi ten dziennik — i wobec różnych zaburzeń wewnętrznych, wędrówki takich cudzoziemców, osobliwie w miejscowościach, oddalonych od dozoru policyjnego, nie mogą być pożądane. Czyż Chińczycy nie mogą być w służbie u Japonii? Pod tym względem ubiegłe wydarzenia już wyjaśniły, jak się zdaje, znaczenie neutralności."

— Większość fabryk w kraju zaniechała rewizyi robotników przy wyjściu z fabryki. Robotnicy natomiast ustanowili wzajemną kontrolę nad sobą, tak skuteczną, że fabrykanci dotychczas nie żałują, iż znieśli tak poniżający dla robotników zwyczaj.

— Do miejscowości, w których zaszły w czasach ostatnich strajki i zaburzenia rolne, wysłani być mają specyalni pełnomocnicy z Petersburga, w celu zbadania przyczyny tego ruchu.

— Zwołanie przedstawicieli ludności państwa do udziału w naradzie nad reformami państwowemi nastąpić ma, jak twierdzi korespondent *Warsz. Dn.* z Petersburga, nie wcześniej, niż w roku przyszłym, albowiem dużo czasu zajmą prace przygotowawcze.

— *Warsz. Dn.* pisze: „W niektórych polskich pismach warszawskich wydrukowano wiadomość o okólniku b. warszawskiego gubernatora bar. Medema z dn. 16 lipca 1880 r., nr. 75, w sprawie używania języka rosyjskiego w publicznych urzędach gminnych powierzonej mu gubernii. W wymienionym okólniku dopuszczona była możliwość usunięcia języka państwowego z papierów urzędów gminnych we wszystkich sprawach, dotyczących ogólnych spraw gmin. To pojedyńcze rozporządzenie gubernatora warszawskiego, jako stanowiące przeciwieństwo z zasadniczemi wskazówkami władzy wyższej, nie otrzymało zastosowania praktycznego i wkrótce, bo 14 lipca 1881 r., było zniesione przez ministeryum spraw wewnętrznych, które w sprawie wprowadzenia języka państwowego w urzędach gminnych stosowało się do kategorycznych, stanowczych wymagań władzy najwyższej, co też znajdowało swe odbicie niejednokrotnie zarówno w środkach, przedsiewziętych przez samo ministeryum, jako też i w różnych rozporządzeniach władzy naczelnej w kraju przywiślańskim. W ten sposób okólnik b. gubernatora warszawskiego z d. 16 lipca 1880 r., pomieszczony w *Gaz. Sądowej* i w innych wydawnictwach miejscowych, jako zniesiony w porządku ustanowionym, nie może mieć żadnego znaczenia praktycznego ani zasadniczego."

Szkoły i wychowanie. Z polecenia władzy szkolnej odroczono wykłady w szkole technicznej kolei wiedeńskiej do przyszłego roku szkolnego.

— Generał R. Klicki otrzymał pozwolenie ministeryum oświaty na założenie w Warszawie prywatnego gimnazyum klasycznego.

— Przy ministeryum oświaty, jak donosi *Warsz. Dn.* utworzono specyalną komisyę dla opracowania projektu nowej ustawy dla niższych szkół.

— *Warsz. Dn.* z d. 19 marca zamieścił: Niniejszem podaje się do wiadomości, że zgodnie z rozporządzeniem p. ministra oświaty, zajęcia we wszystkich średnich zakładach naukowych warszawskich, pozostających pod zarządem ministeryum oświaty, będą wznowione 20 marca. Uczniowie, którzy w terminie oznaczonym nie stawią się do zajęć, będą uważani za uwolnionych.

— Kurator warszawskiego okręgu naukowego zwracał się do ministeryum oświaty w sprawie obowiązującego zdawania egzaminu z języka cerkiewno-słowiańskiego dla osób wyznania nieprawosławnego przy zdawaniu egzaminu na stopień nauczyciela i nauczycielki szkół początkowych w Królestwie Polskiem. Komitet naukowy ministeryum oświaty uznał, że osoby powyższe powinny być zwalniane od egzaminu z języka cerkiewno-słowiańskiego, o czem należy czynić adnotacye na udzielonych im świadectwach nauczycielskich.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum skarbu zawiadomiło wszystkie tutejsze instytucye rządowe, że w celu wczesnego zarządzenia środków walki z cholerą, polecono przedłużyć specyalne kredyty r. 1904 i że przy wyjednywaniu na powyższy cel potrzebnych sum ze skarbu nie będą czynione żadne trudności i odroczenia.

— Z uwagi na ekonomiczny stan kraju, wywołany wojną na Dalekim Wschodzie, jak również na ciężkie warunki handlu miejscowego, postanowione obniżyć znacznie procent podatku dochodowego. Zmniejszenie to wynosi od 25 do 50% dla różnych dziedzin przemysłu i handlu, nie dotyczy jednakże artykułów spożywczych, które bez względu na położenie zawsze zbyt mają zapewniony.

— Wielu kupców tutejszych, mających stosunki handlowe z fabrykantami niemieckimi, którzy dotychczas dawali swe towary w komis na sześć miesięcy i na czas jeszcze dłuższy, otrzymało obecnie zawiadomienia, że nadal towary będą nadsyłane tylko za gotówkę.

Bezrobocia. Korespondent *Now. Wrem.* z Białego stoku podaje następujące szczegóły: „Bezrobocie, które się rozpoczęło 2 marca, trwa dotąd. I policya i wojsko, przez cały ten czas są ciągle w pogotowiu. Oprócz trzech pułków miejscowych — dwóch dragońskich i jednego piechoty, nie licząc dywizyi artyleryi, przybyła, w formie posiłku, część, uhlickiego pułku piechoty. Dnia 6 b. m., w ogrodzie miejskim, odbyło się zebranie robotników. Chrześcianie oświadczyli, że nie solidaryzują się z Żydami, traktując obecne bezrobocie, jako wyłącznie ekonomiczne i protestują przeciw temu zabarwieniu politycznemu, jakie mu nadają robotnicy-Żydzi. Ci jednak obstawali za programem, wytkniętym przez „Bund“, i chcąc skłonić chrześcian do łączności, ażeby nie osłabiać bezrobocia, zaproponowali urządzenie tegoż dnia nowego zebrania, ale chrześcianie stanowczo odmówili swego udziału.

Podczas wszystkich bezroboci białostockich, Turcy uparcie odmawiali swego udziału, skutkiem czego nie udawało się pozbawić mieszkańców chleba. Turcy posiadają największą w mieście piekarnię, z którą robotnicy musieli się liczyć. Obecnie rzucili się na nich z kijami, rewolwerami i kindżałami. Jednego subjekta śmiertelnie raniono kulą w bok, drugiego lżej, ale także niebezpiecznie. Gospodarz pobity kijami, zdołał umknąć.

Po południu, we wsi Wysoki Stoczek, o trzy wiorsty od miasta, odbyło się drugie zebranie, w którym wzięło udział kilka tysięcy robotników, wyłącznie Żydów. Do tłumu zbliżył się w powozie białostocki „isprawnik" powiatowy, p. Jelczin, pozostawiwszy daleko po za sobą szwadron dragonów. Nie wysiadając z powozu, starzec zaczął namawiać robotników do rozejścia się. Kazał swojemu stangretowi wjechać w tłum, ażeby, posuwając się powoli, namawiać dalej do rozejścia się. Tłum rozstąpił się, puścił powóz naprzód, a następnie zwarł się. Konie stanęły i tutaj zaszła scena strasznie dzika. Do spokojnego Jelczina, który przybył z ludzkim zamiarem zapobieżenia interwencyi wojska, podszedł z tłumu jakiś złoczyńca i wystrzałem z rewolweru zabił go na miejscu.

Przedtem na ulicy wystrzałem z rewolweru raniono w plecy dawnego policmajstra, Mietlenkę. Następnie wysadzono w powietrze cesarski łuk tryumfalny, przyczem zginęła zupełnie niewinna kobieta. Wreszcie rzucono bombę w pierwszym cyrkule, przyczem raniono 6 ludzi. Ani razu przestępców nie wykryto. Wielu Żydów uzbroiło się w rewolwery najnowszego systemu, a także i w kije z gałkami ołowianemi, ważącemi najmniej trzy funty i umocowanemi na sprężynie spiralnej. Tak uzbrojeni, Żydzi, kierowani swoim „Bundem,“ trzymają w postrachu tych robotników fabrycznych, którzy chętnie wzięliby się już do pracy.

Dorożkarze i woźnice, którzy rano, d. 8 marca, wyjechali na miasto, musieli nazajutrz znowu zaniechać pracy, gdyż robotnicy ich bili. Dnia 8 b. m., około godziny trzeciej po południu, do właściciela wielkiego młyna, ronistrza Daniłowskiego, ktoś z tłumu strzelił i zabił na przeciwległej stronie 9-letniego chłopca-Żyda. Wieczorem, tegoż dnia, robotnicy bez widocznej przyczyny, ranili głęboko nożem w plecy starca-Żyda. Wieczorem, tegoż dnia, strzelano, przez okna do piekarni tureckiej, chcąc tym sposobem zmusić właściciela do przerwania pracy. Dnia 10 robotnicy strzelali do patrolu, złożonego z 12 żołnierzy, podczas kiedy ci rozpędzali tłum.

Niektóre fabryki i zakłady przemysłowe zaspokoiły już część żądań robotników, i ci przystąpiliby już do pracy, gdyby nie obawa zemsty ze strony innych, strajkujących w dalszym ciągu i posługujących się bronią. Zastępy głodnych wzrastają z każdą godziną. Liczba strajkujących przekracza już 12 tysięcy. Zapasy mąki i innych produktów spożywczych już się wyczerpują, a dowozu niema.

Chrześcianie zupełnie się oddzielili od Żydów i samodzielnie radzą o swoich sprawach.“

Koleje i komunikacye. Budowa czwartego mostu na Wiśle, przeznaczonego wyłącznie dla ruchu kolejowego, ma się rozpocząć w kwietniu. W dwu więc punktach na Solcu i przy cytadeli zawrze niezwykła praca. Przy obu mostach znajdzie zajęcie 1200 robotników. Do robót ziemnych przy moście kolejowym mają być sprowadzeni robotnicy z Cesarstwa.

— Skutkiem wojny odroczono na czas nieograniczony roboty około pogłębienia rzek i jezior spławnych.

— Ministeryum skarbu i komunikacyi odmówiło kilku instytucyom a także i osobom prywatnym pozwolenia na budowę nowych linii kolejowych.

— Ministeryum komunikacyi rozpatruje projekt połączenia morza Bałtyckiego z Czarnem, w tym celu zamierza przedsięwziąć cały szereg prac: budować nowe kanały, pogłębiać rzeki i łączyć je w jeden system wodny.

— W ministeryum komunikacyi zastanawiają się podobno nad projektem zamiany drewnianych podkładów kolejowych na skórzane.

Poczta i telegraf. Z powodu rozporządzenia, pozwalającego przyjmować kobiety do służby pocztowej i telegraficznej jeden z pedagogów zamierza podobno urządzić w Warszawie kursa prywatne, mające przygotowywać kobiety do tego rodzaju służby. Życzymy mu, żeby zamiar swój jak najprędzej do skutku doprowadził dla dobra ogółu, narażonego na różne przykrości i straty z powodu nieudolności obecnie w biurach pocztowych zatrudnionych pracowniczek. Niektóre z nich z włożonych na nie obowiązków wywiązują się wprost skandalicznie.

Konkursy. Wydział krajowy w Galicyi ogłasza powtórnie konkurs z fundacyi Franciszka Kochmana. Do konkursu dopuszczone są dzieła autorów polskich w języku polskim (z wyjątkiem dzieł treści religijnej), ogłoszone drukiem w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Nagrody są dwie, jedna w kwocie 2,000 koron, druga 1,000 koron. Termin do nadsyłania dzieł na konkurs upływa z d. 31 grudnia 1905 r. Oceną dzieł i przyznaniem nagród zajmuje się komisya konkursowa, przez wydział krajowy powołana. Własność literacka dzieła premiowanego służy autorowi i nadal, nadesłane zaś egzemplarze zostaną na koszt wysyłającego zwrócone tylko na wyraźne osobne żądanie.

— Sąd konkursu imienia Kuryerowa przyznał nagrodę 260 rb. p. Teodorowi Ziomkowi za obraz p. t. „Wieczorna zorza“, a p. Władysławowi Rudlickiemu 100 rb. za rzeźbę „Z powrotem.“

Odpowiedzi Redakcyi.

Autorowi sztuki w 3 aktach p. t. „Gniazdo szlacheckie“ możemy zwrócić rękopis w każdej chwili.

P. N. Z. Wiersz nieudolny, treść banalna.

P. A. Krz. „Przepaść“ nic nam nie mówi — uderza nadewszystko niedostateczną znajomością języka. Kto chce pisać, obowiązany jest znać gramatykę i wartość słów, któremi się posługuje.

Pani A. R. Tłomaczenia tego utworu wyszło już w jednem z pism codziennych.

Zarządowi „Polonii“ w Monachium. Poczty tutejsze wysyłek za granicą za pobraniem pocztowem nie przyjmują.

Panu Trzaskowskiemu w Żyrardowie. Wszystkie numery oddawane są na pocztę jednocześnie, w sobotę rano; jeśli Pan odbiera z opóźnieniem to trzeba się upomnieć na poczcie.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 11 Марта 1905 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.